

Georges Simenon

Maigret i widmo

Przełożyła Eligia Bąkowska

Rozdział 1

Dziwne noce inspektora Lognona i dolegliwości Solange

Tej nocy było już trochę po pierwszej, gdy w gabinecie Maigreta zgasło światło. Komisarz, z powiekami ciężkimi od zmęczenia, wszedł do pokoju inspektorów, gdzie dyżurowali młody Lapointe i Bonfils.

- Dobranoc, chłopcy - mruknął.

W obszernym korytarzu sprzątaczkami zamykały podłogę, pozdrowił je lekkim ruchem ręki. Jak zawsze o tej porze panował przeciąg, a od schodów, którymi szedł z Janvierem, wiało wilgotnym chłodem.

Była połowa listopada. Przez cały dzień padał deszcz. Maigret od godziny ósmej rano dnia poprzedniego nie ruszał się ze swojego przegrzanego gabinetu i przed wyjściem na dziedziniec podniósł kołnierz płaszcza.

- Gdzie mam cię podwieźć?

Zamówiona telefonicznie taksówka czekała przed bramą na Quai des Orfèvres.

- Do którejkolwiek stacji metra, szefie.

Deszcz lał jak z cebra, jego strugi odpryskiwały od bruku. Inspektor wysiadł z samochodu przy Châtelet.

- Dobranoc, szefie.

- Dobranoc, Janvier.

Setki razy przeżywali wspólnie podobne sytuacje, odczuwając taką samą, trochę gorzką satysfakcję.

W parę minut później Maigret po cichu szedł schodami domu przy bulwarze Richard-Lenoir; sięgnął do kieszeni po klucz, obrócił nim ostrożnie w zamku i niemal natychmiast usłyszał głos pani Maigret, która poruszyła się na łóżku.

- To ty?

Setki, jeśli nie tysiące, razy stawiała już to pytanie lekko ochrypłym głosem, gdy wracał po nocy; usiłowała zaświecić lampkę przy łóżku, a następnie wstawała w nocnej koszuli, patrzyła na męża, aby zbadać, w jakim jest nastroju.

- Sprawa skończona?

- Tak.

- Chłopak w końcu zaczął mówić?

Odpowiedział skinieniem głowy.

- Nie jesteś głodny? Chcesz, żebym ci zrobiła coś do jedzenia?

Umieścił przemokły płaszcz na wieszaku i rozwiązywał krawat.

- Czy w lodówce jest piwo?

Zapomniał zatrzymać samochód na placu de la République i wstąpić na małe piwo do jeszcze otwartej piwiarni.

- Było tak, jak myślałeś?

Sprawa okazała się banalna, o ile sprawę dotyczącą wielu ludzi można nazwać banalną. W prasie ukazał się sensacyjny tytuł: "Gang motocyklowy".

Za pierwszym razem, w biały dzień, na ulicy de Rennes przed jubilerskim sklepem zatrzymały się dwa motocykle. Dwaj osobnicy zsiadli z pierwszego, a jeden z drugiego i zasłoniwszy twarze czerwonymi chustkami wbiegli do sklepu; po paru minutach wyszli, z pistoletami w rękach, z biżuterią i zegarkami zgarniętymi z wystawy i kontuaru.

Tłum nie zareagował od razu, a kiedy się ocknięto, kiedy ludzie w samochodach pomyśleli o pościgu za złodziejami, powstał taki korek, że napastnikom udało się zbiec.

- Oni na tym nie poprzestaną - powiedział Maigret.

Łup był skromny; w sklepie, prowadzonym przez wdowę, sprzedawano tanią biżuterię.

- Chcieli wypróbować swój numer.

Po raz pierwszy bowiem zastosowano motocykle przy napadzie rabunkowym.

Komisarz nie mylił się: w trzy dni później powtórzono ten sam scenariusz, ale tym razem w luksusowym sklepie jubilerskim na Faubourg Saint-Honoré. Odbywało się to tak samo, z tą jednak różnicą, że złodzieje zrabowali klejnoty wartości wielu milionów starych franków: dwieście milionów - pisały gazety, sto milionów według oceny zakładu ubezpieczeń.

Jednakże podczas ucieczki jeden ze złodziei zgubił chustkę i po dwóch dniach aresztowano go w ślusarni przy ulicy Saint-Paul, gdzie był zatrudniony.

Tegoż wieczora wszyscy trzej znaleźli się pod kluczem, najstarszy miał lat dwadzieścia dwa, najmłodszy - Jean Bauche, zwany Jasiem - właśnie skończył lat osiemnaście.

Był to blondyn ze zbyt długimi włosami, syn sprzątaczkę z ulicy Saint-Antoine; on również pracował w ślusarni.

- Obaj z Janvierem mordowaliśmy się na zmianę przez cały dzień - relacjonował żonie Maigret, wciąż w ponurym nastroju. Pił piwo i jadł kanapki.

“Słuchaj, Jasiu, wydaje ci się, żeś twardziel. Wmówili w ciebie, że jesteś twardzielem, ale ani ty, ani twoi dwaj koleżkowie nie zaplanowaliście tego skoku. Za wami stoi ktoś, kto wszystko obmyślił tak, żeby niczym się nie zdradzić. Przed dwoma miesiącami wyszedł z Fresnes i nie ma ochoty tam wracać. Przyznaj, że on był na miejscu, w skradzionym samochodzie i osłaniał waszą ucieczkę, manewrując wozem z udawaną niezręcznością”.

Maigret rozbierał się, popijał piwo, w krótkich zdaniach informował żonę.

- Ci smarkacze są najtrudniejsi... Wpojono im szczególne poczucie honoru...

Kazał aresztować trzech recydywistów, wśród których znalazł się niejaki Gaston Nouveau. Jak można się było spodziewać, miał solidne alibi: dwie osoby oświadczyły, że w chwili napadu był w barze przy avenue des Ternes.

Wielogodzinne konfrontacje nie dały żadnych wyników. Gruby Wiktor Sidon, zwany Mamuską, najstarszy spośród trzech motocyklistów, szyderczo spoglądał na komisarza. Saugier, zwany Petardą, płakał zaklinając się, że nic nie wie.

- Obaj z Janvierem skoncentrowaliśmy nasze wysiłki na małym Jasiu Bauche. Sprowadziliśmy jego matkę, która błagała go: “Synku, powiedz! Przecież widzisz, że tym panom nie chodzi o ciebie. Rozumieją, że ty dałeś się namówić”.

Przez dwadzieścia morderczych godzin nieubłaganie doprowadzali chłopaka do granic ludzkiej wytrzymałości. Ale jego nagłe załamanie się nie sprawiło im satysfakcji.

- Dobra! Wszystko wam powiem. To Nouveau upatrzył nas sobie w “Lotusie” i wciągnął do całej tej historii.

“Lotus” to niewielki bar przy ulicy Saint-Antoine, gdzie młodzież schodziła się, aby słuchać grającej szafy.

- Przez was on swoim kumplom każe mnie zabić, kiedy wyjdę z więzienia...

Wreszcie! Skończył się dzień pracy, Maigret, z ciężką głową, położył się.

- O której godzinie masz być w biurze?

- O dziewiątej.

- Nie mógłbyś pospać trochę dłużej?

- Zbudź mnie o ósmej.

Nie poczuł nawet, kiedy zapadł w sen. Nie zdawał sobie sprawy, że śpi. Miał wrażenie, że ledwie zamknął oczy, rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych i żona ostrożnie wstała z łóżka.

Ktoś szeptał przy drzwiach. Wydało mu się, że poznaje głos, mówił sobie, że

jeszcze śpi, i wciskał głowę w poduszkę.

Znowu kroki żony, która zbliżała się do łóżka. Czy jeszcze się położy? Ktoś pomylił drzwi? Nie. Dotknęła jego ramienia, rozsuwała firanki, i Maigret, nawet nie otworzywszy oczu, uświadomił sobie, że to już dzień. Spytał matowym głosem:

- Która godzina?

- Siódma.

- Czy ktoś przyszedł?

- Lapointe czeka w jadalni.

- Czego chce?

- Nie wiem. Poleż jeszcze chwilę, przyniosę ci filiżankę kawy.

Dlaczego jego żona mówiła takim tonem, jak gdyby przekazano jej jakąś niepomyślną nowinę? Dlaczego z wahaniem odpowiedziała na jego pytanie? Poranek był brudnoszary i deszcz nie przestawał padać.

Pierwszą myślą Maigreta było, że Jaś Bauche, przerażony tym, że złożył zeznania, powiesił się w swojej celi. Wstał nie czekając na kawę, włożył spodnie, przyczesał się i, jeszcze oszołomiony po zbyt ciężkim śnie, otworzył drzwi do jadalni.

Lapointe stał przy oknie, w czarnym płaszczu, z ciemnym kapeluszem w ręce, z policzkami szorstkimi po nocnej służbie.

Maigret poprzestał na pytającym spojrzeniu.

- Szefie, proszę mi wybaczyć, że wyrwałem pana ze snu... Ale ktoś, kogo pan lubi, miał w nocy wypadek...

- Janvier?

- Nie, nikt z Quai...

Pani Maigret przyniosła dwie duże filiżanki kawy.

- Lognon...

- Nie żyje?

- Jest ciężko ranny. Przewieziono go do Bichat i od trzech godzin operuje go profesor Mingault... Nie przyszedłem wcześniej ani nie telefonowałem, bo po wczorajszym dniu i wieczorze potrzebny był panu wypoczynek... Poza tym w pierwszej chwili niewiele było szans, że wyżyje...

- Co mu się stało?

- Dwie kule, jedna w brzuch, druga trochę poniżej ramienia...

- Gdzie to było?

- Na avenue Junot, na chodniku...

- Był sam?

- Tak. W tej chwili jego koledzy z osiemnastego komisariatu prowadzą śledztwo...

Maigret pił kawę małymi łykami, ale nie sprawiało mu to takiej przyjemności jak w inne poranki.

- Pomyślałem, że pan chciałby tam być, kiedy odzyska przytomność.

Samochód czeka na dole.

- Nie wiadomo, jak do tego doszło?

- Na razie nie. Nie wiemy nawet, co robił na avenue Junot. Jakaś dozorczyńni usłyszała strzały i zatelefonowała na komisariat. Kula przebiła okiennicę, stłukła szybę i utkwiała w ścianie nad jej łóżkiem...

- Ubiorę się...

Poszedł do łazienki, a tymczasem pani Maigret nakrywała stół do śniadania; Lapointe zdjął płaszcz i czekał.

Inspektor Lognon nie należał wprawdzie do brygady Quai des Orfèvres, chociaż bardzo tego pragnął, ale Maigret często z nim pracował, prawie zawsze wtedy, gdy w osiemnastej dzielnicy zdarzało się coś ważnego.

Był to mieszcuch, jak mówiono, jeden z dwudziestu inspektorów cywilów, których biuro mieściło się w merostwie Montmartre'u, na rogu ulicy Caulaincourt i Mont-Cenis. Niektórzy nazywali go Ponurakiem z racji jego chmurnej miny. Maigret ochrzcił go inspektorem Pechowcem, bo w istocie można było sądzić, że nieborak Lognon miał dar ściągania na siebie wszelkiego rodzaju kłopotów.

Mały i chudy, jak rok długi miał katar, czerwony nos, załzawione oczy pijaka, choć bez wątplenia był najbardziej wstrzemięźliwym człowiekiem w całej policji.

Jego nieszczęściem była chora żona, która z trudem zwlekała się z łóżka na fotel pod oknem, Lognon musiał więc po służbie zajmować się domem, zakupami i gotować. Jedynie raz w tygodniu mógł sobie pozwolić na opłacenie kobiety, która robiła gruntowne porządki.

Czterokrotnie stawał do konkursu Policji Kryminalnej i za każdym razem przegrywał z powodu głupich błędów, chociaż w praktyce był wybitnym fachowcem: jak pies myśliwski, raz znalazłszy się na tropie, już zdobyczy nie wypuszczał. Uparciuch. Skrupulant. Typ, który mijając człowieka na ulicy, zaraz wietrzył podejrzanego.

- Myślą, że uda się im go uratować?

- W Bichat dają mu chyba szansę trzy na dziesięć.

W przypadku człowieka, który zasłużył na przydomek Pechowca, nie brzmiało to optymistycznie.

- Czy mógł mówić?

Maigret, jego żona i Lapointe jedli rogaliki, które chłopiec od piekarza przed chwilą położył przy drzwiach.

- Jego koledzy nic mi o tym nie powiedzieli, a ja wolałem nie nalegać...

Nie jeden Lognon cierpiał na kompleks niższości. Większość inspektorów dzielnicowych z zazdrością spogląda na wielki dom, jak nazywają Quai des Orfèvres, i kiedy trafia im się jakaś ciekawa sprawa, o której prasa będzie się rozpisywać, nie cierpią, aby im ktoś tę gratkę sprzątał sprzed nosa.

- Idziemy! - westchnął Maigret wkładając płaszcz wilgotny jeszcze od wczoraj.

Napotkał wzrok żony i odgadł, że chce mu coś powiedzieć i że oboje myślą o tym samym.

- Zamierzasz wrócić na obiad?

- To mało prawdopodobne...

- Czy w takim razie nie sądzisz...

Myślała o pani Lognon, samotnej w swoim mieszkaniu i niedołęznej.

- Ubieraj się szybko! Zawieziemy cię na plac Constantin-Pecqueur.

Lognonowie mieszkali tam od dwudziestu lat w kamienicy z czerwonej cegły, z oknami obramowanymi żółtą cegłą, Maigret nigdy nie mógł zapamiętać, jaki był numer tego domu.

Lapointe siadł przy kierownicy małego wozu Policji Kryminalnej. W ciągu tylu lat pani Maigret dopiero po raz drugi jechała takim służbowym samochodem w towarzystwie męża.

Mijali przepełnione autobusy. Chodnikami szybko szli ludzie pochyleni do przodu, kurczowo trzymając parasole, które wydzierał im wiatr.

Dobrnęli do Montmartre'u, na ulicę Caulaincourt.

- To tutaj...

Pośrodku skweru stał kamienny posąg dwojga ludzi: pierś kobiety wyłaniała się z drapowanej szaty; statua była czarna od strony, z której smagał ją deszcz.

- Zatelefonuj do mnie do biura; myślę, że będę tam koło południa...

Zaledwie skończyła się jedna sprawa, a już zaczynała się druga, o której nic

jeszcze nie wiedział. Lubił Lognona. Często w raportach podkreślał jego zasługi, a nawet przypisywał mu swoje własne sukcesy. Ale na nic się to nie zdało. Inspektor Pechowiec!

- Najpierw do Bichat...

Schody. Korytarze. Drzwi otwarte na rzędy łóżek i spojrzenia chorych wlepione w dwóch przechodzących mężczyzn.

Ponieważ źle ich skierowano, musieli wrócić na dziedziniec, wejść innymi schodami, aby w końcu przed drzwiami z napisem "Oddział chirurgiczny" spotkać się z inspektorem z osiemnastki: znali go, był to niejaki Créac, w ustach trzymał nie zapalonego papierosa.

- Panie komisarzu, myślę, że lepiej niech pan zgasi fajkę. Tam jest taki potwór, który wsiądzie na pana, jak przed chwilą wsiadł na mnie, kiedy chciałem zapalić papierosa.

Minęły ich dwie pielęgniarki niosące miski, dzbanki, tace z fiolkami i niklowane narzędzia.

- Czy on jest jeszcze tutaj?

Była za kwadrans dziewiąta.

- Zaczęli go operować o czwartej.

- Nie ma pan żadnych wiadomości?

- Nie, próbowałem zdobyć jakieś informacje w tym pokoju na lewo, ale ta stara...

Był to pokój przełożonej pielęgniarek, którą Créac nazwał potworem. Maigret zapukał. Nieprzyjemny głos zawołał, by wszedł.

- O co chodzi?

- Przepraszam, że pani przeszkadzam. Kieruję brygadą śledczą Policji Kryminalnej.

Zimne spojrzenie kobiety zdawało się mówić: "I co z tego?"

- Chciałbym zapytać, czy ma pani jakieś wiadomości o inspektorze, którego właśnie operują...

- Będę miała wiadomości, kiedy operacja się skończy. Na razie mogę tylko powiedzieć, że nie umarł, skoro jest przy nim profesor.

- Czy był w stanie mówić, kiedy go tu przywieziono?

Tym razem popatrzyła na niego, jak gdyby to pytanie było zupełnie bez sensu.

- Pozostała mu zaledwie połowa krwi i musiano natychmiast przystąpić do

transfuzji.

- Kiedy pani zdaniem można by się spodziewać, że odzyska przytomność?

- O to niech pan zapyta profesora Mingault.

- Jeżeli dysponujecie jakimś oddzielnym pokojem, byłbym wdzięczny, gdyby go pani dla niego zarezerwowała. To ważna sprawa. Jeden z inspektorów będzie przy nim czuwał.

Nadstawiła ucha, bo właśnie otworzyły się drzwi oddziału chirurgii i na korytarz wyszedł człowiek w czapeczce na głowie, w białym zakrwawionym fartuchu.

- Panie profesorze, ten pan...

- Komisarz Maigret...

- Bardzo mi przyjemnie.

- Czy on żyje?

- Jak na razie... Jeżeli nie pojawią się komplikacje, mam nadzieję, że go z tego wyciągnę.

Czoło miał zroszone potem, oczy zdradzały zmęczenie.

- Jeszcze słowo... Koniecznie trzeba by go przenieść do osobnego pokoju...

- To już sprawa pani Drasse... Pan wybaczy...

Wielkimi krokami poszedł do swojego gabinetu. Drzwi sali operacyjnej znowu się otworzyły. Pielęgniarz popychał łóżko na kółkach, na którym pod prześcieradłem rysowały się kształty ciała Lognona, sztywnego i wykrwawionego; widać było tylko górną część twarzy.

- Bernardzie, proszę go zawieźć do pokoju 218.

- Dobrze, proszę pani.

Szła za łóżkiem na kółkach, a oni deptali jej po piętach. Była to posępna procesja, w bladym świetle padającym z wysokich okien, obok łóżek ustawionych w rzędy w salach, które mijali, jak w złym śnie. Lekarz praktykant, który wyszedł z sali operacyjnej, przyłączył się do orszaku.

- Jest pan z rodziny?

- Nie... Komisarz Maigret...

- Ach, to pan?

Spojrzał na niego z ciekawością, jakby chcąc się przekonać, czy jest podobny do wizerunku, jaki sobie wyrobił.

- Profesor mówił, że ma szansę się wykaraskać...

Był to inny świat, gdzie głosy nie brzmiały tak, jak gdzie indziej, a pytania nie

budziły echa.

- Skoro profesor tak powiedział...

- Czy absolutnie nie może pan określić, kiedy on odzyska przytomność?

Czy pytanie Maigreta było absurdalne i dlatego lekarz tak na niego popatrzył?

Przełożona pielęgniarek zatrzymała policjantów przy drzwiach.

- Nie, jeszcze nie teraz.

Trzeba było położyć chorego i widocznie poczynić pewne zabiegi, bo dwie pielęgniarki przyniosły różne przyrządy, a także namiot tlenowy.

- Niech panowie zostaną na korytarzu, jeśli panowie chcą, chociaż ja tego bardzo nie lubię. Godziny odwiedzin są wyznaczone.

Maigret spojrzął na zegarek.

- Myślę, Créac, że pana tu zostawię. Niech się pan stara być przy nim, gdy odzyska przytomność. Jeżeli będzie mógł mówić, proszę dokładnie zanotować każde słowo...

Nie czuł się upokorzony, nie. Ale było mu jakoś nieprzyjemnie, bo nie przywykł, aby go tak źle traktowano. Jego popularność nie wywierała żadnego wrażenia na tych ludziach, dla których życie i śmierć miały inne znaczenie niż dla ogółu.

Na dziedzińcu poczuł się lepiej; mógł zapalić fajkę, a Lapointe - papierosa.

- A ty lepiej idź się przespać. Zawieź mnie tylko do merostwa osiemnastki.

- Nie chce pan, szefie, żebym został z panem?

- Masz za sobą taką noc...

- W moim wieku, wie pan...

Byli o dwa kroki od merostwa. W biurze inspektorów zastali trzech jegomościów, którzy układali raporty i, pochyleni nad maszynami do pisania, wyglądali na sumiennych urzędników.

- Dzień dobry, panowie... Który z was jest zorientowany w tej sprawie?

Znał ich wszystkich, jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej z widzenia; wszyscy trzech wstali.

- Każdy z nas i nikt...

- Czy ktoś poszedł zawiadomić panią Lognon?

- Podjął się tego Durantel...

Na podłodze były ślady mokrych podeszew, a w powietrzu unosił się zapach zimnego tytoniu.

- Czy Lognon prowadził jakąś sprawę?

Patrzyli na siebie z wahaniem. Wreszcie jeden z nich, mały grubas, przemówił.

- Właśnie zastanawialiśmy się nad tym, panie komisarzu... Znał pan Lognona...

Kiedy zdawało mu się, że jest na tropie, zachowywał się zazwyczaj dość tajemniczo...

Zdarzało się, że pracował nad jakąś sprawą tygodniami, ale nam o tym nie wspominał...

Nieborak Lognon przyzwyczał się bowiem, że kto inny zbierał za niego laury.

- Co najmniej od dwu tygodni był bardzo powściągliwy, a czasem wracał do biura z taką miną, jak gdyby przygotowywał wielką niespodziankę.

- Nie zrobił żadnej aluzji?

- Nie, tylko prawie zawsze wybierał nocną służbę...

- Wiadomo, w którym sektorze pracował?

- Patrole widziały go wielokrotnie na avenue Junot, w pobliżu miejsca, gdzie go napadnięto... Ale nie w ostatnich dniach... Wychodził z biura około godziny dziewiętej wieczór, a wracał o trzeciej albo czwartej rano... Zdarzało się, że w nocy w ogóle się nie pojawiał...

- Nie złożył żadnego raportu?

- Przejrzałem wykaz. Ograniczał się do napisania wyrazu: nic.

- Mieliście na miejscu swoich ludzi?

- Trzech, kierował nimi Chinquier.

- A dziennikarze?

- Trudno ukryć przed nimi zamach na inspektora... Nie chce się pan zobaczyć z komisarzem?

- Jeszcze nie teraz...

Maigret, wciąż z Lapointe'em przy kierownicy, kazał się zawieźć na avenue Junot. Drzewa zaczynały już tracić liście, które kleiły się do mokrego chodnika. Nieustannie padający deszcz nie zniechęcił grupy około pięćdziesięciu osób, zgromadzonych na jezdni.

Policjanci w mundurach zablokowali czworokąt chodnika przed czteropiętrową kamienicą. Kiedy Maigret wysiadł z samochodu, aby przemknąć pomiędzy gapiami i parasolami, nie omieszkali go dopaść fotoreporterzy.

- Jeszcze raz, komisarzu... Proszę cofnąć się o parę kroków w tłum...

Popatrzył na nich takim samym wzrokiem, jakim spoglądała na niego przełożona pielęgniarek w Bichat. Na pustym odcinku chodnika ulewa nie zdołała

zmyć plamy krwi, która powoli się rozplýwała, a że nie można było się posłużyć kredą, zarys ciała z grubsza oznaczono kawałkami drewna.

Inspektor Deliot, również z komisariatu osiemnastki, witając się z Maigretem zdjął przemoknięty kapelusz.

- Chinqvier jest u dozorczyni, panie komisarzu. On pierwszy przybył na miejsce.

Komisarz wszedł do kamienicy staromodnej, ale bardzo czystej, starannie utrzymanej, i otworzył oszklone drzwi dyżurki dozorczyni w chwili, gdy inspektor Chinqvier chował swój notes do kieszeni.

- Spodziewałem się, że pan przyjdzie. Byłem zdziwiony, że nie widzę nikogo z Quai des Orfèvres.

- Byłem w Bichat.

- Jak operacja?

- O ile można sądzić, udała się. Profesor twierdzi, że on ma szansę się z tego wylizać.

Dyżurka również była czysta, wypucowana. Dozorczyni wyglądająca na lat czterdzieści pięć, była sympatyczną kobietą o przyjemnych manierach.

- Proszę, niech panowie siadają... Właśnie powiedziałam panu inspektorowi wszystko, co wiem... Proszę popatrzeć na podłogę...

Zielone linoleum zarzucone było odłamkami szyby, której brakowało w oknie.

- I tutaj...

Wskazała dziurę na wysokości około metra nad łóżkiem stojącym w głębi pokoju.

- Była tu pani sama?

- Tak, mój mąż jest nocnym portierem w "Palace" na Champs-Élysées i wraca dopiero o ósmej rano.

- Gdzie jest w tej chwili?

- W kuchni...

Wskazała zamknięte drzwi.

- Próbuje wypocząć, bo mimo wszystko wieczorem musi stawić się do pracy.

- Chinqvier, myślę, że wypytał pan już o wszystko, co mogłoby nam być użyteczne. Proszę nie mieć mi za złe, że teraz ja z kolei będę pytał.

- Czy jestem panu potrzebny?

- Nie zaraz.

- W takim razie na chwilę pójdę na górę...

Maigret zmarszczył brwi, zastanawiając się, dokąd on się wybiera, ale nie zapytał o nic, żeby nie urazić ambicji dzielnicowego inspektora.

- Przepraszam, pani...

- Sauget. Lokatorzy nazywają mnie Angelą.

- Proszę, niech pani usiądzie.

- Jestem przyzwyczajona do stania.

Poszła zaciągnąć zasłonę, za którą w dzień chowała łóżko, tak że pokój nabierał wtedy wyglądu salonu.

- Może pan miałby na coś ochotę. Na przykład na filiżankę kawy?

- Dziękuję. A zatem tej nocy leżała pani w łóżku.

- Tak. I usłyszałam jakiś głos: "Proszę otworzyć bramę".

- Czy wie pani, która była godzina?

- Mój budzik ma fosforyzujące wskazówki. Było dwadzieścia po drugiej.

- Czy to wychodził któryś z tutejszych lokatorów?

- Nie, to był ten pan...

Była zmieszana jak ktoś, kto zmusza się do popełnienia niedyskrecji.

- Który pan?

- Ten, na którego napadnięto.

Maigret i Lapointe spojrzeli na siebie w osłupieniu.

- Pani chce powiedzieć, że był to inspektor Lognon?

Skinęła potakująco głową i dodała:

- Policji trzeba powiedzieć wszystko, prawda? Zazwyczaj nie mówię o moich lokatorach, co robią i kto u nich bywa. Nie obchodzi mnie ich życie prywatne. Ale po tym, co się stało...

- Czy od dawna zna pani inspektora?

- Tak, od lat... Od kiedy tutaj oboje z mężem mieszkamy... Ale nie wiedziałam, jak się nazywa. Widywałam go w przejściu i wiedziałam, że jest z policji, bo często zachodził do naszej służbówki, aby sprawdzić czyjaś tożsamość. Nie był rozmowny...

- W jakich okolicznościach poznała go pani bliżej?

- Kiedy zaczął bywać u tej młodej osoby z czwartego piętra...

Tym razem Maigret zaniemówił. Lapointe był zdumiony. Ludzie z policji nie muszą być święci. Maigret wiedział, że i w jego biurze są tacy, którzy szukają

pozamałżeńskich przygód. Ale Lognon! Pechowiec odwiedza nocami młodą osobę, mieszkającą zaledwie o dwieście kroków od jego własnego domu!...

- Czy ma pani pewność, że chodzi o tego samego człowieka?

- Przecież łatwo go odróżnić!

- Czy od dawna... odwiedzał tę osobę?

- Od jakichś dziesięciu dni...

- A zatem, jak przypuszczam, któregoś wieczora przyszedł razem z nią.

- Tak.

- Czy odwracał głowę mijając służbówkę?

- Wydaje mi się, że tak.

- Wracał tutaj często?

- Prawie co wieczór...

- Wychodził bardzo późno?

- Z początku, to znaczy przez pierwsze trzy, cztery dni wychodził trochę po północy... Później zostawał dłużej, do drugiej albo trzeciej rano...

- Jak nazywa się ta osoba?

- Marinetta... Marinetta Augier... Bardzo ładna dziewczyna, lat dwadzieścia pięć, osoba dobrze wychowana...

- Czy ona stale przyjmowała mężczyzn?

- Myślę, że mogę odpowiedzieć na to pytanie, bo ona nigdy nie kryła się ze swoim postępowaniem... Przez rok przyjmowała dwa albo trzy razy w tygodniu przystojnego młodzieńca, który, jak mi powiedziała, był jej narzeczonym...

- Czy spędzał u niej noce?

- W końcu i tak pan się dowie... Tak... kiedy przestał przychodzić, wydawała mi się smutna. Któregoś ranka, gdy przyszła po swoją pocztę, zapytałam, czy zaręczyny zostały zerwane, na co ona odpowiedziała: "Nie chcę o tym mówić, moja droga Angelo. Mężczyźni nie zasługują na to, aby się nimi zanadto przejmować..." Widocznie nie rozmyślała o tym długo, bo odzyskała swoją pogodę... To bardzo wesoła, zdrowa dziewczyna.

- Pracuje?

- Jest kosmetyczką, jak mówi, w salonie przy avenue Matignon... Dlatego była zawsze tak zadbana, tak gustownie ubrana.

- A jej przyjaciel?

- Ten narzeczony, co to nie wrócił? Miał ze trzydzieści lat. Nie wiem, jaki miał

zawód. Znałam tylko jego imię. Dla mnie był to pan Henryk, bo tak się przedstawiał, kiedy przychodził w nocy...

- Kiedy nastąpiło zerwanie?

- Zeszłej zimy około Bożego Narodzenia...

- A zatem przez rok młoda osoba... Jak jej nazwisko?... Marinetta...?

- Marinetta Augier...

- A zatem przez rok nie przyjmowała u siebie nikogo?

- Z wyjątkiem swojego brata, i to od czasu do czasu; mieszka pod Paryżem z żoną i trojgiem dzieci.

- Więc przed dwoma tygodniami wieczorem wróciła w towarzystwie inspektora Lognon?

- Tak jak już panu powiedziałam.

- I odtąd on przychodził co wieczór?

- Z wyjątkiem niedzieli, bo nie widziałam, aby wchodził albo wychodził.

- Nigdy nie przychodził w dzień?

- Nie. Ale pana pytanie przypomniało mi jeden szczegół. Raz przyszedł wieczorem około dziewiętej, jak zwykle, a ja wybiegłam, zanim wszedł na schody, żeby mu powiedzieć: "Marinety nie ma w domu". "Wiem - odpowiedział - jest u brata". Pomimo to wszedł na górę, wcale się nietłumacząc; wtedy pomyślałam, że ona dała mu klucz.

Maigret zrozumiał teraz, po co inspektor Chinquier poszedł na górę.

- Czy pani lokatorka jest w tej chwili w domu?

- Nie.

- Poszła do pracy?

- Nie wiem, czy poszła, ale gdy chciałam jej jakoś oględnie powiedzieć, co się stało...

- O której godzinie?

- Po moim telefonie na policję...

- A zatem przed godziną trzecią nad ranem?

- Tak... Myślałam, że musiała słyszeć strzały... Wszyscy lokatorzy je słyszeli...

Jedni wyglądali z okien, inni schodzili na dół w szlafrokach, aby dowiedzieć się, co zaszło... To, co zobaczyłam na chodniku, było okropne... Pobiegnęłam więc na górę i zapukałam do jej drzwi... Nikt nie odpowiedział... Weszłam i przekonałam się, że mieszkanie jest puste.

Patrzyła na komisarza z pewną satysfakcją, jakby chciała powiedzieć: “W swojej karierze widział pan pewnie wiele dziwnych rzeczy, ale proszę przyznać, że czegoś takiego się pan nie spodziewał”. W istocie tak było. Maigret i Lapointe wymienili tylko tępe spojrzenia. Maigret pomyślał, że o tej porze jego żona zapewne pociesza panią Lognon, której na imię było Solange; krząta się jej po domu...

- Sądzi pani, że Marinetta wyszła z domu równocześnie z nim?

- Jestem pewna, że nie. Mam dobry słuch. Nie mam wątpliwości, że wychodziła tylko jedna osoba, mężczyzna...

- Przechodząc wymienił pani swoje nazwisko?

- Nie. Miał zwyczaj wołać: “Czwarte piętro”. Poznałam jego głos. Zresztą tylko on jeden tak wołał.

- Czy ona mogła wyjść przed nim?

- Ależ nie. Ostatniej nocy raz tylko otwierałam bramę, o w pół do dwunastej, lokatorom z trzeciego piętra, którzy wracali z kina.

- Czy mogła wyjść już po strzelaninie?

- To jedyne możliwe wytłumaczenie. Kiedy zobaczyłam ciało na chodniku, przybiegłam tutaj, aby zatelefonować na policję... Wahałam się, czy zamknąć bramę... Nie śmiałam... Wydawało mi się, że to tak, jakbym zostawiała tego biedaka na pastwę losu...

- Pochyliła się pani nad nim, aby się przekonać, czy żyje?

- Ciężko mi to przyszło, bo krwi się boję, ale zrobiłam to...

- Był przytomny?

- Nie wiem...

- Powiedział coś?

- Poruszył wargami... Widziałam, że chce mówić... Wydało mi się, że odróżniam jedno słowo, ale chyba się przesłyszałam, bo to całkiem bez sensu... może majaczył.

- Jakie słowo?

- Widmo...

Zarumieniła się, jakby w obawie, że komisarz i inspektor ją wyśmieją albo posądzą, że zmyśla.

Rozdział 2

Obiad u Maniére'a

Można by sądzić, że ten człowiek umyślnie wybrał tę chwilę, aby osiągnąć efekt iście teatralny. A może zresztą podsłuchiwał pod drzwiami? Zaledwie padło słowo “widmo”, gałka się obróciła, drzwi lekko się otworzyły i ukazała się sama głowa, bo reszta ciała pozostała niewidoczna.

Twarz była blada, zmięta, powieki i usta obwisłe. Maigret dopiero po dobrej chwili zrozumiał, dlaczego nowo przybyły wygląda tak złowieszczo: nie włożył sztucznej szczęki.

- Raul, ty nie śpisz? - I jakby to było potrzebne, przedstawiła go: Mój mąż, panie komisarzu...

Był znacznie od niej starszy; na zmiętej piżamie miał szlafrok w szkaradnym fioletowym kolorze.

Gdy w haftowanej złotem kurtce stał za swoim kontuarem w “Palace”, można jeszcze było mieć jakieś złudzenie, ale tutaj, nie ogolony, zmęczony, z gniewną miną człowieka, który nie może zasnąć, był zarazem śmieszny i żaloszny.

Trzymając filiżankę kawy w ręce, uklonił się niepewnie Maigretowi, po czym utkwiał wzrok w gipiurowych firankach, za którymi w nieustającym deszczu gromadziły się ciągle ciemne sylwetki, mimo że policjanci usiłowali utrzymać gapiów w pewnej odległości.

- Czy to długo potrwa? - jęknął.

Kradziono mu sen, którego potrzebował, sen, do którego miał prawo, i z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że to on jest prawdziwą ofiarą.

- Dlaczego nie zażyjesz którejs z tych pigułek, które przepisał ci lekarz?

- Szkodzą mi na żołądek.

Usiadł w kącie, aby wypić kawę; na gołych stopach miał filcowe pantofle; aż do końca rozmowy otwierał usta już tylko po to, żeby wzdychać.

- Chciałbym, żeby pani spróbowała sobie przypomnieć, niemal sekundę za sekundą, co zaszło od chwili, kiedy poproszono panią o otwarcie bramy.

Dlaczego ta ponętna kobieta wyszła za człowieka co najmniej o dwadzieścia lat starszego od siebie, nad tym się nie zastanawiał, ale chyba miał wtedy jeszcze własne uzębienie.

- Usłyszałam: “Proszę otworzyć bramę” i głos, który bez wątpienia

rozpoznałam, dodał: “Czwarte piętro!” Jak panu już mówiłam, popatrzyłam odruchowo na zegar. Takie mam przyzwyczajenie. Była druga dwadzieścia. Wyciągnęłam rękę, żeby nacisnąć guzik, bo dzisiaj już nie otwiera się bramy kluczem, tylko naciska guzik i brama się otwiera. W tej samej chwili usłyszałam szum motoru, jak gdyby samochód z nie wyłączonym silnikiem zatrzymywał się, ale nie przed naszym domem, tylko przed sąsiednim. Pomyślałam nawet, że to Hardsinowie, małżeństwo z kamienicy naprzeciwko, którzy wracają późno do domu. Wszystko to trwało zaledwie parę sekund. Słyszałam również kroki pana Lognon w korytarzu. Potem trzasnęły drzwi, po czym natychmiast huk motoru nasilił się, samochód ruszył i rozległ się wystrzał jeden, drugi i trzeci. Mogło się wydawać, że ostatni oddano z samej służbówki, bo coś uderzyło w okiennicę, stłukła się szyba, usłyszałam jakiś dziwny hałas nad głową...

- Samochód pojechał dalej? Czy jest pani pewna, że był tylko jeden samochód?

Mąż dozorczyńni przyglądał się im kolejno spode łba, mieszając łyżeczką kawę w filiżance.

- Jestem tego pewna. Ulica biegnie pochyło. Jadąc pod górę samochody przyśpieszają. Ten na pełnym gazie skierował się w ulicę Norvins...

- Nie słyszała pani żadnego krzyku?

- Nie. Najpierw trochę przeczekałam, ze strachu. Ale jak panu wiadomo, kobiety zawsze chcą wszystko wiedzieć i rozumieć. Włączyłam światło, chwyciłam szlafrok i wybiegłam na korytarz.

- Brama była zamknięta?

- Tak jak już panu mówiłam. Słyszałam, jak trzasnęła. Przytknęłam do niej ucho, ale słyhać było tylko deszcz. Wtedy uchyliłam bramę i zobaczyłam ciało w odległości zaledwie dwóch metrów od progu.

- Zwrócone w górę ulicy czy w dół?

- Raczej tak, jakby kierował się ku ulicy Caulaincourt. Biedak obiema rękami trzymał się za brzuch, po palcach płynęła krew. Jego otwarte oczy wpatrywały się we mnie.

- Pani nachyliła się i wtedy usłyszała, a może tak się wtedy pani wydało, to słowo: widmo?

- Przysięgłabym, że to właśnie wyszeptał. Okna się otwierały. Lokatorzy nie mają telefonów i muszą korzystać z mojego aparatu. Dwaj z nich, którzy chcą mieć

telefon, już od roku figurują na liście kandydatów. Ja wróciłam i wyszukałam w książce telefonicznej numer policji. Te rzeczy powinno się wiedzieć, ale człowiek o tym nie myśli, zwłaszcza w domu tak spokojnym jak nasz...

- Korytarz był oświetlony?

- Nie. Tylko moja służbówka. Policjant, który odebrał telefon, zadawał mi różne pytania w obawie, że to jakiś kawał, a to zabrało trochę czasu.

Aparat wisiał na ścianie. Z tego miejsca nie można było zobaczyć, co się dzieje na korytarzu.

- Lokatorzy zbiegli na dół... O tym już panu opowiadałam... Odwiesiwszy słuchawkę pomyślałam o Marinetcie i pobiegłam na czwarte piętro...

- Dziękuję pani. Czy mogę skorzystać z telefonu?

Maigret połączył się z Policją Kryminalną.

- Halo, to ty, Lucas?... Na pewno znalazłeś notatkę Lapointe'a w sprawie Lognona... Nie, nie jestem już w szpitalu... Nie wiadomo jeszcze, czy wyżyje... Jestem przy avenue Junot, chciałbym, żebyś pojechał do Bichat... Tak, najlepiej ty sam... Zachowuj się w sposób jak najbardziej oficjalny, bo ci ludzie nie przepadają za intruzami... Staraj się zobaczyć z internistą, który asystował przy operacji, bo profesor Mingault o tej porze jest zapewne nieosiągalny... Spodziewam się, że znaleźli kulę, może dwie... Tak... W oczekiwaniu na urzędowy raport chciałbym poznać jak najwięcej szczegółów... Co do kul, zanieś je do laboratorium...

Kiedyś prace te powierzano miejskiemu rzeczoznawcy nazwiskiem Gastinne-Renette, ale teraz mieli już własnego specjalistę od balistyki; laboratoria Policji Kryminalnej mieściły się na poddaszu Pałacu Sprawiedliwości.

- Zobaczymy się zaraz albo wczesnym popołudniem.

Komisarz zwrócił się do Lapointe'a:

- Ty naprawdę nie chcesz się przespać?

- Nie jestem śpiący, szefie...

Nocny portier z "Palace" przyglądał się im z zazdrością i dezaprobatą zarazem.

- W takim razie jedź na ulicę Matignon. Na pewno nie ma tam aż tyle salonów kosmetycznych, abyś nie mógł znaleźć tego, gdzie pracuje Marinetta Augier... Nie jest zbyt prawdopodobne, aby przyszła do pracy... Staraj się dowiedzieć o niej najwięcej, wszystko, co się da...

- Rozumiem, szefie.

- Ja pójdę na górę...

Maigret był trochę zły, że nie pomyślał o kulach już będąc w Bichat, ale to nie było zwyczajne śledztwo. Można by powiedzieć, że nabierało mniej profesjonalnego charakteru, gdyż chodziło o Lognona.

W Bichat myślał przede wszystkim o inspektorze i był pod wrażeniem przełożonej pielęgniarek, profesora, sal wypełnionych rzędami łóżek z chorymi, którzy wodzili za nim wzrokiem.

W domu przy avenue Junot nie było windy. Nie było również chodnika na schodach, ale drewniane schody, wypolerowane przez czas, były dobrze wypastowane, a poręcz gładka. Na każdym piętrze znajdowały się dwa mieszkania, a na niektórych drzwiach widniały metalowe tabliczki z nazwiskiem.

Na czwartym piętrze pchnął wpółotwarte drzwi, minął ciemnawy przedpokój i znalazł się w saloniku, gdzie inspektor Chinquier, siedząc w fotelu obitym materiałem w kwiaty, palił papierosa.

- Czekałem na pana... Opowiedziała panu wszystko?

- Tak.

- Mówiła o samochodzie?... To mnie najbardziej uderzyło. Proszę spojrzeć na to...

Wstał i wyjął z kieszeni trzy lśniące łuski nabojów, zawinięte w kawałek gazety.

- Znaleźliśmy je na ulicy... Jeżeli strzelano z jadącego samochodu, co wydaje się prawdopodobne, strzelec wysunął ramię przez okno... Niech pan zwróci uwagę, to kaliber 7,63...

Chinquier był poważnym pracownikiem, znał swój fach.

- Posłużono się prawdopodobnie pistoletem automatycznym typu Mauser, a jest to broń ciężka, która nie mieści się w ręcznej torbie czy w kieszeni spodni... Już pan wie, co chcę powiedzieć?... To był profesjonalista, a miał co najmniej jednego współnika, przy kierownicy, bo nie strzelał prowadząc auto. Zazwyczaj zazdrosny kochanek nie skrzykuje kompanów, aby mu pomogli załatwić rywala... Poza tym mierzono w brzuch... Jest to istotnie skuteczniejsze niż celowanie w pierś, bo człowiek, mając wnętrzności podziurawione w dziesięciu miejscach przez kulę dużego kalibru, rzadko uchodzi z życiem.

- Obejrzał pan to mieszkanie?

- Wolałbym, żeby pan sam to zrobił...

W tym śledztwie było jednak coś szczególnego, co krępowało Maigreta. Zaczęli je inspektorzy tej dzielnicy. Otóż chętnie pokpiwali sobie z Lognona, gdy był zdrow i cały, ale był to przecież ich kolega, na którym teraz dopuszczono się zbrodni. W tych okolicznościach komisarz nie mógł ich odsunąć i wziąć sprawy w swoje ręce.

- Niebrzydki ten pokój, prawda?

Gdy zaglądało tu słońce, był zapewne jeszcze przyjemniejszy. Ściany były jaskrawego żółtego koloru, podłoga lakierowana, pośrodku leżał dywan też żółty, ale jaśniejszy. Meble, dość nowoczesne, dobrane ze smakiem, tworzyły jednocześnie jadalnię i salon, nie brakowało tutaj ani telewizora, ani adaptera.

Na stole stojącym pośrodku Maigret natychmiast zauważył elektryczną maszynkę do kawy, filiżankę z fusami na dnie, cukiernicę i butelkę koniaku.

- Tylko jedna filiżanka - mruknął. - Czy pana to nie zastanowiło, Chinquier? Powinien był pan zatelefonować na Quai des Orfèvres, żeby przysłali ludzi z laboratorium...

Nie zdejmował płaszcza, a teraz włożył z powrotem kapelusz. Jeden z foteli zwrócony był do okna, obok stolika; w popielniczce leżało siedem albo osiem niedopałków.

W saloniku było dwoje drzwi. Jednymi wchodziło się do kuchni, czystej, bardzo porządnie utrzymanej, bardziej przypominającej wzorowe kuchnie na wystawach niż te, jakie zazwyczaj widuje się w starych paryskich domach.

Drugie drzwi prowadziły do sypialni. Łóżko było nie zasłane. Na poduszce, jedynej poduszce, widniał jeszcze wklęsły ślad głowy.

Bładoniebieski jedwabny szlafrok przerzucony był przez poręcz krzesła, bluza od damskiej piżamy, tego samego koloru, leżała na ziemi, a spodnie przy szafie ściennej.

Chinquier już był z powrotem.

- Rozmawiałem z Moersem. Wysyła panu natychmiast całą ekipę. Czy zdążył się pan już rozejrzeć i otwierał pan szafę?

- Jeszcze nie...

Otworzyli: pięć sukien na wieszakach, jesienny płaszcz przybrany futrem i dwa kostiumy, beżowy i granatowy... Na górnej półce leżały walizki.

- Wie pan, co myślę? Nie wydaje mi się, aby zabrała z sobą jakieś bagaże. W komodzie zobaczy pan starannie ułożoną bieliznę.

Przez okno można było oglądać część panoramy Paryża, ale tego dnia widziało

się tylko szare niebo, z którego nieustannie padał deszcz. Przez otwarte drzwi, znajdujące się tuż obok łóżka, widać było łazienkę, gdzie również niczego nie brakowało, ani szczoteczki do zębów, ani kremów.

Sądząc po wyglądzie mieszkania, Marinetta Augier obdarzona była dobrym smakiem, sporo czasu spędzała w domu i lubiła pewien komfort.

- Zapomniałem zapytać dozorczyń, czy Marinetta jadała w domu, czy w restauracjach - przyznał się Maigret.

- Ja zapytałem. Prawie zawsze jadała tutaj...

W lodówce zobaczyli między innymi pół pieczonego kurczaka, masło, ser, owoce, dwie butelki piwa i butelkę wody mineralnej. W sypialni, na nocnym stoliku czekała druga butelka, już napoczęta.

Na tymże stoliku nocnym bardziej zainteresowała komisarza popielniczka, gdzie leżały dwa niedopałki papierosów zabarwione kredką do ust.

- Paliła papierosy amerykańskie...

- Natomiast w saloniku palono tylko kaporale, prawda?

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia, bo obydwom to samo przyszło na myśl.

- Wnosząc z wyglądu łóżka, zeszłej nocy nikt tutaj nie uprawiał miłosnych igraszek...

Mimo tragedii niepodobna było nie uśmiechnąć się na myśl o inspektorze Pechowcu zmagającym się z młodą i ładną kosmetyczką.

Czy się posprzeczali? Lognon, rozgniewany, schronił się w sąsiednim pokoju, w głębokim fotelu, paląc papierosa za papierosem, podczas gdy jego kochanka leżała na łóżku?

Coś się tutaj nie zgadzało i Maigret raz jeszcze zdał sobie sprawę, że tego śledztwa od początku nie prowadzi ze zwykłą przenikliwością.

- Niestety, Chinquier, muszę pana poprosić, żeby zszedł pan raz jeszcze na dół, bo zapomniałem o coś zapytać. Chciałbym wiedzieć, czy kiedy dozorczyń tu weszła, w saloniku świeciło się światło?

- Mogę panu na to odpowiedzieć. Świeciło się w sypialni, ale poza tym było ciemno.

Razem wrócili do saloniku, którego dwoje oszklonych drzwi prowadziło na balkon obiegający całą fasadę, podobnie jak na najwyższym piętrze wielu starych paryskich domów.

W mglistej szarości odgadywało się raczej, niż widziało wieżę Eiffla, dzwonnice kościołów i na setkach dachów, lśniących od deszczu, dymiące kominy.

Maigret w początkach kariery znał avenue Junot zaledwie wytyczoną, kiedy na nie zabudowanych terenach, wśród ogrodów stało tylko parę budynków. Pierwszym, kto kazał tu sobie zbudować rodzaj willi, uważanej wówczas za bardzo nowoczesną, był pewien malarz.

Za jego przykładem poszli inni, powieściopisarz, śpiewaczka operowa, i avenue Junot stała się ulicą elegancką. Przez balkonowe drzwi komisarz spoglądał na liczne jednorodzinne domy, które w końcu zagęściły się i zbliżyły do siebie. Dom stojący naprzeciwko, który, sądząc po jego stylu, pochodził sprzed około piętnastu lat, był dwupiętrowy.

Może należał do jakiegoś malarza, bo drugie piętro miał niemal całkowicie oszklone. Ciemne zasłony były zaciągnięte, tak że pozostały pomiędzy nimi luki najwyżej trzydziesto-, czterdziestocentymetrowe.

Gdyby zapytano komisarza, o czym myśli, z trudem znalazłby odpowiedź. Rejestrował fakty w pamięci. Chaotycznie. Na chybił trafił. Raz patrzył przez okno, to znów zwracał się do wnętrza mieszkania, bo wiedział, że w jakiejś chwili pewne obrazy połączą się i nabiorą znaczenia.

Na ulicy rozległy się jakieś hałasy, a na schodach ciężkie kroki, głosy, stuknięcia. Przybywała ekipa śledcza z Quai des Orfèvres ze swoim sprzętem, a Moers pofatygował się osobiście.

- Gdzie jest ciało? - pytał; miał niebieskie oczy, zawsze trochę zdziwione za grubymi szklami okularów.

- Nie ma ciała, Chinquier nic ci nie powiedział?

- Chciałem jak najszybciej... - tłumaczył się Chinquier.

- Chodzi o Lognona, napadnięto go w chwili, gdy wychodził z tego domu.

- Nie żyje?

- Przewieziono go do Bichat. Może się z tego wykaraska. Część nocy spędził w tym mieszkaniu z kobietą. Chciałbym wiedzieć, czy jego odciski palców znajdziecie w pokoju sypialnym, czy tylko tutaj. Zbadaj wszystkie ślady, jakie uda ci się znaleźć... Zejdzie pan ze mną, Chinquier?

Począł, aż znajdą się w korytarzu na parterze, i wtedy powiedział półgłosem:

- Może warto by przepytac lokatorów i sąsiadów. Mało prawdopodobne, aby

ktoś w taką pogodę stał przy oknie akurat w chwili, gdy padły strzały, ale nigdy nie wiadomo. Możliwe też, że Marinetta wzięła taksówkę, a w tym przypadku łatwo byłoby odszukać kierowcę. Zapewne poszła na plac Constantin-Pecqueur, gdzie taksówek jest więcej niż w wyższych partiach Wzgórza Montmartre. Pan i pańscy koledzy lepiej niż ja znacie tę dzielnicę...

Ściskając mu rękę mruknął:

- Życzę powodzenia!

I otworzył oszklone drzwi służbówki. Widocznie mąż dozorczyńni zdecydował się położyć do łóżka, bo zza firanki słychać było regularny oddech.

- Czy chce mnie pan jeszcze o coś zapytać? - szepnęła Angela Sauget.

- Nie, chciałem zatelefonować, ale zadzwonię skądinąd. Wolę go nie budzić.

- Proszę nie brać mu tego za złe. Kiedy nie prześpi swojej ilości godzin, staje się niemożliwy. Podałam mu środek nasenny, który właśnie zaczyna działać.

- Gdyby przypomniła sobie pani jeszcze jakiś szczegół, proszę zatelefonować do siedziby Policji Kryminalnej.

- Nie przypuszczam, ale obiecuję panu. Żeby tylko ci dziennikarze i fotoreporterzy zechcieli sobie stąd pójść! To oni przyciągają gapiów...

- Spróbuję ich odprawić...

Jak się spodziewał, rzucili się ku niemu pomimo obecności policjantów, gdy tylko wszedł na chodnik.

- Słuchajcie, panowie, w tej chwili wiem tyle, co wy. Nieznani sprawcy zaatakowali inspektora Lognon podczas służby...

- Służby? - zapytał ktoś szyderczym tonem.

- Powiedziałem: podczas służby, i powtarzam. Ciężko rannego operował profesor Mingault w Bichat, ale prawdopodobnie upłynie wiele godzin, a nawet dni, zanim będzie on mógł coś powiedzieć. Tymczasem można tylko snuć przypuszczenia. W każdym razie tutaj już, panowie, nic nie zobaczycie, natomiast możliwe, że dziś po południu, na Quai des Orfèvres, będę miał dla was jakieś wiadomości.

- Ale co robił inspektor w tym domu? Czy to prawda, że zginęła jakaś młoda kobieta?

- Żegnam, do popołudnia!...

- Nie chce pan nic powiedzieć?

- Nic nie wiem.

Poszedł ulicą w dół, postawiwszy kołnierz płaszcza, z rękoma w kieszeniach.

Parę szczęknąć aparatów świadczyło, że z braku czegoś lepszego jemu zrobiono zdjęcie, a kiedy się obejrzał, dziennikarze zaczęli się rozpraszać.

Na ulicy Caulaincourt wszedł do pierwszego napotkanego baru i, ponieważ poczuł, że ma dreszcze, zamówił grog.

- Proszę o trzy żetony.

- Trzy?

Wypił duży łyk grogu, po czym wszedł do kabiny telefonicznej i najpierw zadzwonił do szpitala Bichat. Jak się spodziewał, łączono go z wieloma oddziałami, zanim dotarł do przełożonej pielęgniarek na chirurgii.

- Nie, nie umarł. W tej chwili jest przy nim internista, a na korytarzu siedzi jeden z pańskich inspektorów. Trudno coś przewidywać. A oto jeden z pańskich ludzi: wchodzi właśnie do mojego pokoju...

Zrezygowany odłożył słuchawkę, po czym połączył się z Quai.

- Czy Lapointe wrócił?

- Właśnie próbował pana dopaść na avenue Junot. Oddaję mu słuchawkę.

Przez szybę kabiny Maigret widział cynkową blachę kontuaru, właściciela lokalu w samej kamizelce, dwóch murarzy, którym nalewano duże szklanki czerwonego wina.

- To pan, szefie? Od razu znalazłem zakład kosmetyczny, bo na avenue Matignon w ogóle innego nie ma. Jest to zakład luksusowy, gdzie działa niejaki Marcellin, o którym te panie mówią z pełnym uczucia szacunkiem... Marinetta Augier dzisiaj nie stawiała się do pracy i jej koleżanki są zdziwione, bo ona jest, jak się wydaje, bardzo punktualna i solidna. Nikomu nie zwierzała się ze swoich stosunków z inspektorem. Ma brata, żonatego, który mieszka w Vanve, ale nie znają jego adresu. Pracuje w towarzystwie ubezpieczeniowym i Marinetta czasem telefonowała do jego biura... Towarzystwo nazywa się "La Fraternelle"... Poszukałem w książce telefonicznej... przy ulicy Le Pelletier... Nie odważyłem się tam pójść przed rozmową z panem...

- Jest tam Janvier?

- Wystukuje na maszynie jakiś raport.

- Zapytaj go, czy to pilne. Bardzo chcę, żebyś się przespał i był wypoczęty, kiedy będziesz mi potrzebny...

Po drugiej stronie zapanowało milczenie, po czym odezwał się pełen rezygnacji głos Lapointe'a:

- Mówi, że to nie jest pilne...

- Więc mu przekaz, żeby poszedł na ulicę Le Pelletier i próbował się dowiedzieć, gdzie Marinetta mogła się schronić...

Do lokalu wchodzili inni goście; stałym bywalcom, nie pytając czego sobie życzą, podawano napoje. Rozpoznano Maigreta i ciekawie zerkano na oszkloną kabinę.

Odszukał numer telefonu Lognona. Jak się spodziewał, odezwała się pani Maigret.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Pss... Przede wszystkim nie mów jej, że jestem o dwa kroki... Jak ona się czuje?

Zrozumiał wahanie żony.

- Przypuszczam, że leży w łóżku i czuje się gorzej niż jej mąż?

- Tak.

- Przygotowałaś jej coś do jedzenia?

- Najpierw poszłam na zakupy w tej dzielnicy.

- Może więc być sama?

- Niechętnie!

- Czy się to jej spodoba, czy nie, powiedz jej, że jesteś mi potrzebna, i jak najprędzej spotkaj się ze mną u Maniére'a.

- Zjemy razem obiad?

Nie wierzyła własnym uszom. Zdarzało się im czasem, w sobotę wieczór lub w niedzielę, jadać w restauracji, ale obiadów nie jadali, zwłaszcza gdy toczyło się śledztwo.

Komisarz poszedł wypić resztę grogu przy kontuarze, ale głosy dokoła niego nie brzmiały już tak naturalnie. Była to cena, jaką płacił za reklamę, którą wbrew niemu robiła mu prasa i która często utrudniała mu pracę.

Ktoś powiedział nie patrząc na niego:

- Czy to prawda, że gangsterzy sprzątnęli Pechowca?

A inny głos tajemniczo:

- O ile to rzeczywiście gangsterzy.

A więc w dzielnicy krążyły już wieści o stosunkach inspektora z Marinettą. Maigret zapłacił i, odprowadzany przez wiele oczu, opuścił bar i udał się w kierunku Maniére'a.

Była to piwiarnia przy kamiennych schodach, odwiedzana przez sławnych ludzi tej dzielnicy; spotykało się tu jeszcze aktorki, pisarzy i malarzy. Dla stałych klientów było za wcześnie i większość stolików była wolna, a zaledwie czterech czy pięciu gości, wspierając się łokciami, stało przy barze.

Zdjął przemokły płaszcz i kapelusz i z westchnieniem ulgi opadł na ławeczkę koło okna.

Zamyślony zdążył jeszcze wypalić fajkę, gdy dostrzegł panią Maigret, która trzymając parasol jak tarczę przechodziła przez ulicę.

- Z takim dziwnym uczuciem spotykam się tutaj z tobą. Minęło co najmniej piętnaście lat od dnia, kiedy byliśmy tu wieczorem po teatrze... Pamiętasz?

- Tak... Co będziesz jadła?

Podał jej kartę.

- Ty na pewno weźmiesz kiełbaskę... Czy mogę popełnić małe szaleństwo i zamówić sobie homara na zimno w majonezie?

Poczekali chwilę, aby przystawki i wino znad Loary znalazły się na stole. Nie mieli sąsiadów. Zamglona szyba tworzyła atmosferę intymności.

- Czuję się trochę tak, jakbym była jednym z twoich współpracowników. Kiedy telefonujesz, że nie wrócisz na obiad, wyobrażam sobie ciebie z Lucasem albo Janvierem...

- O ile nie jestem w biurze i nie muszę się zadowolić kanapkami i kuflem piwa... Mów dalej...

- Nie chciałabym być złośliwa...

- Mów szczerze.

- Często wspominałeś mi o niej i o jej mężu... Współczułeś jemu i ja byłam już skłonna uznać cię za niesprawiedliwego...

- A teraz?

- Teraz mniej jej współczuję, choć to na pewno nie jej wina... Zastałam ją w łóżku; była u niej dozorczyńni i wiekowa sąsiadka, maniaczka, która przez cały dzień przesuwa w palcach paciorki różańca... Wezwały lekarza, bo patrząc na nią można było sądzić, że zaraz wyzionie ducha...

- Zdziwiła ją twoja wizyta?

- Wiesz, jakie były jej pierwsze słowa do mnie? "W każdym razie pani mąż nie będzie go już więcej prześladował. Na pewno będzie żałował, że nigdy nie dopuścił Karola na Quai des Orfèvres...". W pierwszej chwili poczułam się

nieswojo... Na szczęście przyszedł lekarz, spokojny, niski staruszek z ironicznym spojrzeniem. Dozorczyni zeszła na dół. Leciwa sąsiadka poszła za mną do jadalni, wciąż z tym swoim różańcem w ręce. "Biedna kobieta! Taka już nasza dola! Kiedy człowiek pomyśli o tym wszystkim, co dzieje się dokoła niego, niemal boi się pokazywać na ulicy..." Zapytałam ją, czy pani Lognon jest ciężko chora, a ona odpowiedziała, że ledwie się na nogach trzyma i że na pewno jest to coś w kościach...

Nie mogli powstrzymać się od uśmiechu; docenili oboje intymność tego posiłku w atmosferze tak odmiennej od nastrojów na bulwarze Richard Lenoir. Zwłaszcza pani Maigret była podniecona i jej oczy błyszczały bardziej niż zwykle, twarz jej ożywiała się coraz mocniej w miarę, jak mówiła.

Kiedy jedli obiad czy kolację w domu, mówił przede wszystkim Maigret, bo ona nie miała nic ciekawego do powiedzenia. Tym razem czuła, że jest użyteczna.

- Ciekawi cię to?

- Bardzo... Mów dalej...

- Po konsultacji lekarz dał mi znak, abym poszła za nim do przedpokoju, i tam cicho porozmawialiśmy. Przede wszystkim zapytał, czy jestem żoną komisarza Maigreta, i zdziwił się, co ja tu robię. Wyjaśniłam mu... Zresztą domyślasz się, co mogłam mu powiedzieć... "Rozumiem pani uczucia - zaburczał. - To bardzo szlachetnie ze strony pani... ale pozwoli pani udzielić sobie przestrogi... Nie twierdząc, że jest to osoba żelaznego zdrowia, mogę panią zapewnić, że nie cierpi na żadną poważną chorobę... Leczę ją od dziesięciu lat... I to nie ja jeden... Regularnie wzywa kogoś z moich kolegów, bo za wszelką cenę chce, aby wykryto u niej jakąś ciężką chorobę... Ale kiedy ja jej radzę, aby zasięgnęła porady u psychiatry albo neurologa, oburza się, zaklinając się, że nie jest obłąkana, a że ja nie mam pojęcia o medycynie... Czy małżeństwo przyniosło jej zawód? W każdym razie ma do męża pretensje, że wciąż jest tylko zwykłym inspektorem dzielnicowym... Dlatego mści się na nim twierdząc, że jest chora, zmusza go, żeby ją pielęgnował, zajmował się gospodarstwem, prowadził męczący tryb życia... Dobrze, że dziś przyszła pani tutaj... Ale jeżeli okaże się pani zbyt wyrozumiała, uczepli się pani wszelkimi sposobami... Zatelefonowałam od niej do szpitala Bichat i mogłam jej powtórzyć, że jej mąż ma sporą szansę, aby wyjść z tego cało. Trochę przesadziłem... Ale to nie szkodzi, bo ona użala się nie nad mężem, lecz nad sobą..."

Przyniesiono kielbaskę z frytkami i pół homara tonącego w majonezie. Maigret napełnił kieliszki.

- Kiedy do mnie zatelefonowałaś i kiedy oznajmiłam jej, że muszę ją na godzinę lub dwie opuścić, z goryczą powiedziała: “Mąż potrzebuje pani, rozumie się. Wszyscy mężczyźni są tacy sami...”, po czym ni z tego, ni z owego dodała: “Gdybym owdowiała, nie mogłabym z moją pensją zatrzymać tego mieszkania, gdzie przeżyłam dwadzieścia pięć lat”.

- Czy nie zrobiła żadnej aluzji do istnienia jakiejś kobiety w życiu Lognona?

- Powiedziała tylko, że zawód policjanta jest wstrętny, bo styka się on z różnymi typami ludzi, nie wyłączając prostytutek...

- Próbowiałaś może dowiedzieć się, czy w ostatnich czasach zaszły w nim jakieś zmiany?

- Tak. Odpowiedziała: “Odkąd popełniłam to głupstwo i wyszłam za niego za mąż, on co pewien czas zapowiada mi jakąś głośną sprawę, która przyniesie mu rozgłos i zmusi jego zwierzchników do powierzenia mu stanowiska, na jakie zasługuje... Z początku wierzyłam w to i cieszyłam się razem z nim... Krótko mówiąc każda wielka sprawa kończyła się fiaskiem albo ktoś inny przypisywał sobie sukces”.

Pani Maigret, z rozbawieniem, które mąż rzadko u niej widywał, dodała:

- Przyznam ci się, że ze sposobu, w jaki patrzyła na mnie mówiąc te słowa, jasno wynikało, że człowiekiem, który wszystkie jego zasługi przypisywał sobie, jesteś ty... Co się tyczy ostatnich czasów, skarżyła się, że częściej wyznaczano go do nocnej służby poza zwykłą kolejnością, czy to prawda?

- Sam o to prosił.

- Tym się jej nie pochwalił... Cztery czy pięć dni temu oznajmił, że ma coś nowego i że tym razem gazety, chcąc nie chcąc, zamieszczą jego podobiznę na pierwszej stronie...

- Nie próbowała wyciągnąć z niego czegoś więcej?

- Nie uwierzyła mu, a ja myślę, że go wykpiła. Ale poczekaj, dodała coś, co mnie uderzyło. Mąż powiedział jej: “Ludzie nie zawsze są tacy, na jakich wyglądają, i gdyby nasz wzrok przenikał fasady domów, czekałyby nas dziwne niespodzianki”.

Rozmowę przerwał im właściciel lokalu, który przyszedł, aby ich powitać, i przyniósł im do kawy po kieliszku koniaku. Kiedy znów zostali sami, pani Maigret trochę nieśmiało zapytała:

- Czy ci pomogłam? Czy to ci się na coś przyda? Nie odpowiedział od razu, bo zapalając fajkę snuł myśl jeszcze niewyraźną.

- Słyszałaś?

- Tak. To, coś mi powiedziała, na pewno zmieni kierunek śledztwa...

Patrzyła na niego, jeszcze trochę nieufna, ale zachwycona. Ten obiad u Maniére'a miał pozostać jednym z najpiękniejszych jej wspomnień.

Rozdział 3

Miłości Marinetty

Deszcz padał teraz mniej ulewnie i nie tworzył, jak to było rankiem, tych wściekłych strumyków, które zdradziecko atakowały, toteż Maigret, wyglądając przez okno, trochę przeciągał ten obiad o tak szczególnym uroku.

Gdyby Lognon mógł ich teraz zobaczyć, miałby jedną sposobność więcej do wyrażenia swojej goryczy: “Kiedy ja męcę się na szpitalnym łóżku, inni korzystają z tego, aby zafundować sobie u Manière'a obiad zakochanych, i mówią o mojej biednej żonie, jakby była jędzą albo wariatką...”

Przyszła mu do głowy myśl niezbyt oryginalna ani głęboka: “To ciekawe, że drażliwość ludzi częściej komplikuje nam życie niż ich prawdziwe wady albo kłamstwa...”

Sprawdzało się to przede wszystkim w jego zawodzie. Miał w pamięci śledztwa, które ciągnęły się całymi dniami czy tygodniami, bo on nie śmiał zadać interlokutorowi brutalnego pytania albo ten nie chciał poruszać pewnych tematów.

- Wracasz do biura?

- Najpierw wstąpię na avenue Junot. A ty?

- Czy myślisz, że jeżeli do niej nie pójde, będzie narzekała na ciebie, że zostawiasz ją na łasce losu, że się o nią nie troszczysz, w chwili gdy jej mąż przez swoją gorliwość jest umierający?

Miała słuszność. Pani Lognon, do której imię Solange tak bardzo nie pasowało, mogłaby się wyplakiwać w obecności reporterów, którzy nie omieszkają zapukać do jej drzwi, i Bóg raczy wiedzieć, co by z tego przeniknęło do prasy.

- Nie możesz jednak spędzać tam dni i nocy do czasu, aż Lognon wyzdrowieje. Spróbuj więc dojść do porozumienia ze starą panną z różańcem,

- Nazywa się panna Papin.

- Za niewielką sumę na pewno zgodzi się posiedzieć parę godzin dziennie u pani Lognon... W ostateczności zaangażuj pielęgniarkę...

Kiedy wyszli z restauracji, z nieba padały już tylko rzadkie krople; rozstali się na placu Constantin-Pecqueur. Maigret wrócił z wolna na avenue Junot i zobaczył inspektora Chinquier, który wychodził z jednego z domów i dzwonił do bramy sąsiedniego.

To także była praca równie delikatna, jak zawodna. Przeszkadzało się ludziom

siedzącym spokojnie w domu i zajęтым swoimi drobnymi sprawami; sam wyraz “policja” niepokoił ich albo irytował.

- Pozwoli pan, że spytam, czy wczoraj w nocy...

Wszyscy już wiedzieli, że na ich ulicy usiłowano dokonać morderstwa. Może czuli, że są podejrzewani? A czy to przyjemnie wyznawać nieznajomemu policjantowi, jak się spędzało ostatnią noc?

Pomimo to Maigret chętnie wyręczyłby Chinquiera, aby lepiej poznać tę ulicę, jej mieszkańców, jej życie intymne, gdyż pomogłoby mu to umiejscowić dramat, a nawet go zrozumieć.

Była to niestety praca, której na tym stanowisku nie mógł wykonywać osobiście, zwłaszcza że i tak zarzucano mu, iż często wychodzi z biura zamiast dyrygować zatrudnionymi tam ludźmi.

Przed domem, gdzie mieszkała Marinetta, pozostał na straży już tylko jeden policjant. Plama krwi na chodniku była jeszcze widoczna. Przechodnie, nie tworząc grup, zatrzymywali się na chwilę, ale dziennikarze już znikli.

- Nic nowego?

- Nic, panie komisarzu. Uspokoiło się...

W służbówce Saugetowie marudzili przy stole, nocny portier z “Palace” wciąż miał na sobie ohydny szlafrok i był nie ogolony.

- Proszę sobie nie przeszkadzać. Pójdę na chwilę na czwarte piętro, ale chciałbym państwu zadać jedno, a może dwa pytania... Jak przypuszczam, panna Augier nie ma samochodu.

- Kupiła sobie przed dwoma laty skuter, a w kilka miesięcy później odprzedała go, bo miała jakiś wypadek...

- Gdzie zwykle spędzała wakacje?

- Zeszłego lata pojechała do Hiszpanii i wróciła tak opalona, że w pierwszej chwili jej nie poznałam...

- Sama?

- Z przyjaciółką, tak przynajmniej mówiła.

- Często przyjmowała przyjaciółki?

- Nie. Oprócz narzeczonego, o którym panu mówiłam, i inspektora, który ją odwiedzał w ostatnich czasach, żyła raczej samotnie...

- A w niedzielę?

- Często wyjeżdżała w sobotę wieczorem, a wracała w poniedziałek przed

południem. W poniedziałek rano salony fryzjerskie są zamknięte...

- A zatem nie wyjeżdżała daleko?

- Z tego, co wiem, pływała. Często mówiła, że całe godziny spędza w wodzie...

Wszedł na czwarte piętro, przez dobry kwadrans otwierał szuflady i szafy ścienne, przyglądał się sukniom, bieliźnie i drobiazgom, które wiele mówiły o charakterze i upodobaniach właścicielki.

Rzeczy te nie były naprawdę kosztowne, ale starannie dobrane. Znalazł jakiś list nadany w Grenoble, którego rano nie zauważył. Pisany przez mężczyznę, był serdeczny i żartobliwy; Maigret dopiero z końcowych zdań domyślił się, że napisał go ojciec Marinetty.

“... Twoja siostra jest w odmiennym stanie i jej mąż inżynier jest z tego tak dumny, jakby zbudował największą zaporę świata. Co do Twojej matki, to zмага się z czterdzieściorciem brzdąców i wieczorem przynosi nam do domu zapach dzieciennych siusiek ...”

Zdjęcie ze ślubu, zapewne siostry, sprzed kilku lat. Dokoła młodej pary stali rodzice, sztywni i niezgrabni, jak zawsze na tego rodzaju fotografiach, młody człowiek i jego żona z trzyletnim chłopczykiem, a wreszcie osóbką o żywych, błyszczących oczach, zapewne Marinetta.

Wsunął fotografię do kieszeni. Wkrótce potem taksówką pojechał na Quai des Orfèvres i poszedł do swojego gabinetu, z którego wczoraj wyszedł o pierwszej w nocy i gdzie przez wiele godzin uporczywie starał się rozwiązać zagadkę napadu.

Nie zdążył jeszcze zdjąć płaszcza, kiedy do drzwi zapukał Janvier.

- Widziałem się z jej bratem, szefie. Zastałem go w biurze przy ulicy Le Pelletier, gdzie zajmuje dość ważne stanowisko.

Maigret pokazał mu ślubne zdjęcie.

- Czy to on?

Janvier bez wahania wskazał na ojca chłopczyka.

- Czy wiedział, co zaszło dziś w nocy?

- Nie. Gazety dopiero co się ukazały. Z początku utrzymywał, że zaszła tu jakaś pomyłka, że jego siostra nie ma zwyczaju uciekać ani się ukrywać. “Jest tak szczerą, że zdarza mi się robić jej wyrzuty z tego powodu, bo nie wszystkim się to podoba”.

- Nie wydawało ci się, że on coś przed tobą ukrywa?

Maigret usiadł i pogrzebał w swoich fajkach, po czym wybrał jedną i powoli ją nabił.

- Nie. Zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Bez wahania udzielił mi informacji o swojej rodzinie. Ojciec jest profesorem angielskiego w liceum w Grenoble, matka prowadzi przedszkole. W Grenoble mieszka też jego druga siostra; wyszła za inżyniera, który co roku uszczęśliwia ją następnym dzieckiem...

- Wiem...

Maigret nie dodał, że dowiedział się tego z listu znalezionej w jednej z szuflad.

- Po maturze Marinetta postanowiła osiąść w Paryżu, gdzie najpierw była stenotypistką u adwokata, ale życie biurowe nie odpowiadało jej, więc skończyła kurs dla kosmetyczek. Jej brat twierdzi, że marzyła, aby z czasem otworzyć własny gabinet kosmetyczny...

- A narzeczony?

- Istotnie, była zaręczona. Chłopak ten, który nazywa się Jan Klaudiusz Ternel, jest synem paryskiego przemysłowca. Marinetta przedstawiła go bratu. Miała go zawieźć do Grenoble i zaprezentować rodzicom.

W sprawach kryminalnych przygnębiające jest, że spotykamy się tylko z ludźmi normalnymi: zastanawiamy się, dlaczego zostali wciągnięci w dramat.

- Czy brat wiedział, że ten Jan Klaudiusz często spędzał tutaj noc?

- Raczej starał się tę sprawę omijać, ale dał mi do zrozumienia, że o ile jako brat nie mógł tego aprobować, to jest dość postępowy, aby siostry nie potępiać...

- W sumie, wzorowa rodzina - mruknął Maigret.

- Wydała mi się bardzo sympatyczna.

Również mieszkanie przy avenue Junot, które zapewne odzwierciedlało osobowość Marinetty, także było sympatyczne.

- Niemniej bardzo bym chciał, żeby możliwie najprędzej znalazła się w naszych rękach. Czy brat widział się z nią ostatnio?

- Widzieli się nie w tym tygodniu, lecz w poprzednim. Kiedy nie wyjeżdżała na wieś, niedzielne popołudnia spędzała u brata i bratowej. Mieszkają w Vanves, przy miejskim parku, co, jak twierdzi Franciszek Augier, jest bardzo praktyczne ze względu na dzieci...

- Nic im nie mówiła?

- Mimochodem wspomniała, że spotkała dziwnego człowieka i że wkrótce

będzie mogła im opowiedzieć nie zwykłą historię... Bratowa zapytała przekornie:
“Czyżby nowy narzeczony?”

Janvier zdawał się zawstydzony, że przynosi tak błahe informacje.

- Marinetta odpowiedziała, że nie, że jeden eksperyment wystarczy.

- Dlaczego zerwała z Janem Klaudiuszem?

- Z czasem zrozumiała, że to mięczak, niezdolny do wysiłku i że w gruncie rzeczy nie jest zachwycony tym, że się zaangażował. Dwa razy oblał maturę. Ojciec wysłał go potem do Anglii, do przyjaciela, gdzie też nie spisał się nadzwyczajnie. W końcu dostał posadę w biurze, w Paryżu, gdzie też nie są z niego zadowoleni...

- Zobacz, proszę, o której godzinie zeszłej nocy albo dzisiaj rano odjechał pociąg do Grenoble?

Nic z tego jednak nie wynikało. Jeżeli Marinetta wsiadła do pierwszego pociągu, mogłaby teraz być już u rodziców. Ani ojciec, którego dopadli wreszcie w liceum, ani matka nie widzieli się z nią.

I znowu trzeba było udzielać ostrożnych wyjaśnień, aby nie denerwować tych zacnych ludzi.

- Ależ nie... Na pewno nie przydarzyło się jej nic złego... Proszę się niczego nie obawiać, pani Augier. Po prostu przez przypadek zeszłej nocy córka była świadkiem morderstwa... Nie, nie u niej... Stało się to na avenue Junot... Z przyczyny, której jeszcze nie znam, wołała zniknąć na pewien czas... Przyszło mi na myśl, że może schroniła się u państwa.

Odłożywszy słuchawkę, komisarz zwrócił się do Janviera.

- I co miałem jej powiedzieć?... Lapointe z rana wypytywał dziewczęta z zakładu kosmetycznego i żadna z nich nie wiedziała, gdzie Marinetta spędzała niedziele... Wyjechała bez bagażu, bez rzeczy na zmianę, w ulewny deszcz. Ona zdaje sobie sprawę, że w hotelu natychmiast by ją odnaleziono. Albo jest u przyjaciółki, do której ma naprawdę zaufanie, albo ukryła się w jakimś dobrze sobie znanym, nie rzucającym się w oczy miejscu, na przykład, w oberży na przedmieściu... Marinetta jest namiętą pływaczką... Przy jej budżecie jest mało prawdopodobne, aby co tydzień mogła sobie pozwolić na wyjazd nad morze... Jest tysiąc zakątków do wyboru nad Sekwaną, Marną i Oise'ą... Pójdź więc do tego Jana Klaudiusza i spróbuj się dowiedzieć, dokąd zazwyczaj wyjeżdżali.

W sąsiednim pokoju czekał na swoją kolej Moers; w małym kartonowym pudełku przyniósł kule i trzy łuski.

- Ekspert jest tego samego zdania, szefie. To kaliber 7,63, a co do broni, użyto niemal na pewno Mausera.

- A odciski?

- Zastanawiam się, co pan o tym pomyśli. Znaleźliśmy odciski inspektora Lognon niemal w całym saloniku, nawet na gałkach radia...

- A na odbiorniku telewizyjnym?

- Nie. W kuchni otwierał lodówkę i blaszaną puszkę z mieloną kawą... Jego odciski palców znaleźliśmy też na elektrycznej maszynce do kawy. Dlaczego pan się uśmiecha? Czy gadam głupstwa?

- Nie. Mów dalej.

- Lognon używał szklanki i filiżanki. Na poduszce nie ma jego włosów, tylko jeden włos kobiety. Nie ma najmniejszej grudki błota, chociaż, jak mi powiedziano, Lognon przyszedł na avenue Junot w czasie ulewy...

Moers ze swoją ekipą nie przeoczył żadnego szczegółu.

- Jak się wydaje, przesiedział dość długo w fotelu stojącym przy jednych z balkonowych drzwi. Wtedy, jak myślę, włączył radio. Potem otworzył te drzwi, pozostawiając wspaniałe odciski na klamce; na balkonie znalazłem jeden z jego niedopałków. Pan wciąż się uśmiecha...

- Bo to potwierdza myśl, która przysłała mi do głowy przed chwilą, gdy słuchałem, co mówiła moja żona...

Czyż wszystko nie zdawało się wskazywać na to, że Pechowiec, którego małżonka traktowała jak niewolnika, w końcu pozwolił sobie na miłosną przygodę i że po ciężkich godzinach spędzanych w mieszkaniu na placu Constantin-Pecqueur szukał pociechy na avenue Junot?

- Uśmiecham się, mój drogi, na myśl, że jego koledzy dojrzeli w nim nagle donżuana. Widzisz, ja bym przysiągł, że między nimi nic nie było, i nawet żałuję tego z uwagi na Pechowca. Spędzał on wieczory we frontowym pokoju, w saloniku, najczęściej przy oknie i dziewczyna miała do niego dość zaufania, aby mimo jego obecności położyć się spać... Nie znalazłeś nic więcej?

- Trochę piasku w pantoflach dziewczyny, pantoflach na niskich obcasach, które zapewne nosiła na wsi. Jest to piasek znad wody. Mamy u siebie setki rozmaitych próbek, ale trzeba długich godzin, nawet przy wielkim szczęściu, aby ustalić, skąd pochodzi ten piasek...

- Przekazuj mi wszystko... Czy tu obok ktoś jeszcze na mnie czeka?

- Inspektor z osiemnastki.
- Z małym ciemnym wąsikiem?
- Tak.
- To Chinqwier. Wychodząc poproś go, aby wszedł tutaj.

Deszcz znowu zaczął padać cienkimi strugami, coś w rodzaju mgły, która przyćmiewała światło. Chmury na niebie przesuwały się nieznacznie i powoli zmieniały się w jednolicie szare sklepienie.

- No i co, Chinqwier?

- Nie skończyłem jeszcze obchodu ulicy i moi ludzie jeszcze wędrują od bramy do bramy. Całe szczęście, że po każdej stronie jest tylko około czterdziestu numerów. Niemniej oznacza to, że trzeba przepytać ze dwieście osób.

- Mnie interesują przede wszystkim te domy naprzeciwko.

- Niech pan pozwoli, panie komisarzu, że wrócę do tego za chwilę, bo wydaje mi się, że odgaduję pańską myśl. Zacząłem od lokatorów kamienicy, z której wyszedł ten biedak Lognon. Na parterze mieszka tylko para starych ludzi, państwo Guébre; od miesiąca przebywają w Meksyku u swojej zameężnej córki... - Wyjął z kieszeni notes, w którym prawie wszystkie strony pokryte były nazwiskami i szkicami.

Z nim również trzeba było postępować ostrożnie, aby go nie urazić.

- Na każdym piętrze są po dwa mieszkania. Na pierwszym wdowa Faisan, sprzedawczyni w zakładzie krawieckim, oraz para rentierów, państwo Lannier, którzy natychmiast po usłyszeniu strzałów rzucili się do okna. Zobaczyli odjeżdżający samochód, ale niestety nie mogli odczytać numeru...

Maigret, z wpeł zamkniętymi oczyma, czasem pociągając z fajki, zdawał się słuchać nieuważnie, niby kociego mrużenia, drobiazgowej relacji inspektora.

Nadstawił ucha, gdy Chinqwier wymienił niejakiego Maclet, który zajmował drugie piętro sąsiedniego domu. Według inspektora był to zgryźliwy staruch, który raz na zawsze zamknął się w czterech ścianach poprzestając na ironicznym przyglądaniu się ludziom przez okna.

- Reumatyzm nie pozwala mu chodzić. Wlecze się o dwóch laskach, po brudnym mieszkaniu, gdzie nie ma wstępu żadna sprzątaczką. Jego dozorczyńni kładzie mu codziennie pod drzwiami żywność, którą on zamawia na kartce, umieszczanej na słomiance. Nie ma radia, nie czytuje gazet. Dozorczyńni twierdzi, że jest bogaty, chociaż żyje niemal jak nędzarz. Ma zameężną córkę, która wiele razy próbowała umieścić go w zakładzie...

- On naprawdę ma bzika?

- Sam się pan przekona. Strasznie się namęczyłem, zanim zgodził się otworzyć drzwi; musiałem mu zagrozić, że wrócę ze ślusarzem. Kiedy się wreszcie zdecydował, długo przyglądał mi się od stóp do głów, mruczając: "Czy do tego zawodu nie jest pan trochę za młody?" Gdy odpowiedziałem, że mam trzydzieści pięć lat, on powtórzył dwa czy trzy razy: "Młodziak! Młodziak! Co człowiek może wiedzieć w trzydziestym roku życia?... Co potrafi zrozumieć?"

- Czy powiedział panu coś nowego?

- Mówił przede wszystkim o Holendrze z domu naprzeciwko... Chodzi o dom, który widzieliśmy dzisiaj rano, z balkonu, taki nieduży dwupiętrowy, z drugim piętrem oszklonym jak pracownia malarska... Dom ten zbudował przed piętnastu laty niejaki Norris Jonker, który dzisiaj ma sześćdziesiąt cztery lata i którego wspaniała piękna żona, jak się wydaje, jest od niego znacznie młodsza...

Maigret raz jeszcze pożałował, że nie mógł tego zadania wypełnić osobiście. Chętnie poznałby się ze starym zreumatyzowanym mizantropem, który w sercu Paryża, w sercu Montmartre'u, wycofał się z życia i spędzał czas na obserwowaniu sąsiadów z naprzeciwka.

- Nagle rozgadał się, a ponieważ jego manią jest przeskakiwanie z tematu na temat i przeplatanie tego komentarzami, boję się, że nie potrafię panu powtórzyć wszystkiego, co mi naopowiadał... Odwiedziłem później tego Holendra i najlepiej, abym panu od razu zdał relację... Jest to człowiek sympatyczny, elegancki, kulturalny, z bardzo znanej i bardzo bogatej holenderskiej rodziny... Jego ojciec był dyrektorem banku Jonker, Haag i Spółka w Amsterdamie... On sam nigdy nie interesował się finansami i wiele lat spędził na wędrowce po świecie... Kiedy doszedł do wniosku, że szczęśliwy czuje się tylko w Paryżu, kazał sobie zbudować ten dom przy avenue Junot, a bankiem od śmierci ich ojca kieruje jego brat Hans... Norris Jonker poprzestaje na podejmowaniu dywidend i lokowaniu pieniędzy w obrazach...

- W obrazach? - powtórzył Maigret.

- Zdaje się, że ma jedną z najpiękniejszych kolekcji w Paryżu...

- Chwileczkę!... Dzwonił pan do drzwi... Kto panu otworzył?

- Lokaj, bardzo jasny blondyn, z bardzo różową cerą, dosyć młody...

- Powiedział pan, że jest z policji?

- Tak. Nie wydał się zdziwiony i wpuścił mnie do hallu, gdzie wskazał mi krzesło... Nie znam się na malarstwie, ale odcyfrowałem podpisy mistrzów, o których

jednak coś słyszałem: Gauguin, Cézanne, Renoir...Dużo nagich kobiet...

- Długo pan czekał?

- Z dziesięć minut... Dwuskrzydłowe drzwi między hallem a salonem były otwarte i zobaczyłem przechodzącą młodą czarnowłosą kobietę, jeszcze w szlafroku o godzinie trzeciej po południu... Może się mylę, ale miałem wrażenie, że przyszła, żeby mi się przyjrzeć... Po paru minutach lokaj zaprowadził mnie przez salon do gabinetu, od góry do dołu wypełnionego książkami. Przyjął mnie pan Jonker, który miał na sobie flanelowe spodnie, jedwabną koszulę z wykładanym kołnierzem i czarną aksamitną marynarkę. Ma bardzo jasne włosy, a cerę niemal równie różową jak jego służący... Na biurku stała taca z butelką i kieliszkami. "Proszę usiąść... Słucham pana" - powiedział bez cienia obcego akcentu.

Było jasne, że inspektor Chinquier jest pod wrażeniem zarówno luksusu panującego w tym domu, obrazów, jak i elegancji Holendra.

- Muszę się przyznać, że nie wiedziałem, od czego zacząć... Zapytałem, czy słyszał strzały, a on odpowiedział, że nie, że jego pokój nie znajduje się od strony avenue Junot, a grube mury nie przepuszczają hałasu. "Nie znoszę hałasu" - oświadczył, potem podał mi kieliszek nie znanego mi likieru, bardzo mocnego, o pomarańczowym posmaku. "Zapewne wie pan jednak, co zaszło ostatniej nocy naprzeciw pańskiego domu? - Powiedział mi o tym Carl, gdy około dziesiątej przyniósł śniadanie. Jest to mój lokaj, syn naszych dzierżawców. Powiedział, że na avenue Junot panowało wielkie podniecenie, bo bandyci napadli kogoś z policji".

- Jaką miał minę? - spytał Maigret, czyszcząc swoją fajkę.

- Był spokojny, uśmiechnięty, zadziwiająco uprzejmy jak na człowieka, któremu nagle zakłócono spokój. "Jeśli chce pan wypytać Carla, chętnie oddaję go do pańskiej dyspozycji, ale on również sypia od strony ogrodu i zapewnił mnie, że także nic nie słyszał. - Czy pan, panie Jonker, jest żonaty? - Tak. Moja żona była bardzo niemile zaskoczona dowiedziawszy się, co zaszło zaledwie parę metrów od naszego domu".

W tym punkcie swojej relacji Chinquier wydawał się lekko zmieszany.

- Nie wiem, panie komisarzu, czy postąpiłem właściwie. Byłbym mu chętnie zadał jeszcze wiele innych pytań. Nie ośmieliłem się jednak, w przekonaniu, że pilniejszą rzeczą jest zapoznanie pana z biegiem sprawy...

- Powróćmy zatem do starego kaleki.

- A właśnie. Z uwagi na to, co on mi mówił, chciałem o paru rzeczach

porozmawiać z Holendrem. Jedno z pierwszych zdań Macleta brzmiało: “Co by pan, inspektorze, począł, gdyby miał pan za żonę jedną z najpiękniejszych kobiet w Paryżu?... Ha! Ha!... Nie odpowiada pan... I nie ma pan sześćdziesięciu pięciu czy sześciu lat... No dobra! Sformułujmy pytanie inaczej... Co czyni człowiek w tym wieku, mając przy sobie nieustannie tak czarującą istotę? Otóż pan z naprzeciwnika musi mieć na tę kwestię osobliwe poglądy... Ja sypiam mało... Wiadomości polityczne nie interesują mnie, podobnie jak katastrofy, o których mówią radio i gazety... Ja zabawiam się myśleniem... Rozumie pan?... Wyglądam przez okno i myślę. Mało ludzi wie, jakie to zabawne: patrzeć i myśleć... Na przykład o tym Holendrze i jego żonie. Wychodzą rzadko, raz albo dwa razy w tygodniu, ona w wieczorowej sukni, on w smokingu, rzadko kiedy wracają po pierwszej, co znaczy, że chodzą albo do znajomych na kolację, albo do teatru... Sami nigdy nie wydają kolacji ani obiadów. Zresztą śniadania nie jadają przed godziną trzecią po południu... Widzi pan... Człowiek zabawia się jak może... Obserwuje... Odgaduje... Kojarzy drobne spostrzeżenia. Na przykład kiedy widzi się, że ładna dziewczyna dzwoni do bramy około ósmej wieczór i wychodzi dopiero późną nocą, a nawet o świcie...”

Maigret szczerze żałował, że sam nie przesłuchiwał tego niezwyklego starca.

- “Ale to jeszcze nie wszystko, panie policjancie. Proszę przyznać, że moja gadanina zaczyna pana interesować... Zwłaszcza kiedy dodam, że nigdy nie jest to ta sama młoda osoba... Najczęściej przyjeżdżają taksówką, czasem przychodzą piechotą... Z mojego okna widzę, jak patrzą na numery domów, co chyba i pana zdaniem też ma swoje znaczenie?... Widocznie ktoś wyznacza im spotkanie pod wskazanym adresem... W końcu ja nie zawsze byłem tym starym zwierzakiem, który zaszył się w swojej norze, i dość dobrze znam się na kobietach... Niech pan zwróci uwagę na latarnię o pięć metrów od bramy... W pańskim zawodzie na pierwszy rzut oka rozpoznaje pan kobiety, dla których miłość jest profesją, prawda? Odróżnia pan również te, które żyją, jeżeli można się tak wyrazić, na granicy: tancerki kabaretowe, statystki z filmu albo z teatru, które nie gardzą intratną przygodą”.

Maigret, dotąd rozluźniony, ożywił się.

- Chinquier, niech pan powie, czy pan to zrozumiał?

- Co?

- Jak się to zaczęło z Lognonem. Nocami często przechodził przez avenue Junot i znał większość jej mieszkańców... Jeżeli wielokrotnie widział, że kobiety, o których pan mówi, wchodziły do domu Holendra...

- Mnie także przychodziło to do głowy. Ale nie ma takiego prawa, które zabraniałoby mężczyźnie, nawet w pewnym wieku, lubić rozmaitość.

Rzeczywiście nie był to wystarczający powód, żeby Pechowiec starał się, sam niewidoczny, obserwować dom Holendra.

- Byłoby pewne wyjaśnienie.

- Jakie?

- Czekał, aby wyszła jedna z tych dziewczyn. Być może nawet natknął się na prostytutkę, z którą miał do czynienia...

- Rozumiem... Niemniej każdemu wolno...

- To zależy od tego, co działo się w domu, albo od tego, co ta dziewczyna tam widziała. Co jeszcze panu powiedział ten sympatyczny starzec?

Maigreta bowiem coraz bardziej interesował dziwny jego sposób przy oknie.

- Zadałem mu wszystkie pytania, jakie tylko przyszły mi do głowy.

Zanotowałem jego odpowiedzi.

“Pytanie: Czy te dziewczyny nie przychodziły do służącego?”

Odpowiedź: Przede wszystkim lokaj jest zakochany w ekspedientce ze sklepu nabiałowego w dolnej części ulicy, małej grubasce, która co chwila wybucha śmiechem. Ona przychodzi wieczorem parę razy w tygodniu i czeka na niego. Staje w ciemności, z dziesięć metrów od domu, mógłbym panu dokładnie wskazać to miejsce, a wkrótce potem zjawia się on...

Pytanie: Około której godziny?

Odpowiedź: Około dziesiątej... Przypuszczam, że podaje do stołu, a w tym domu kolację jada się późno... Spacerują trzymając się pod rękę, przystają, aby się pocałować, a przed rozstaniem długo stoją przylepieni do siebie, we wnęce muru, którą pan widzi z prawej strony...

Pytanie: On jej nie odprowadza?

Odpowiedź: Nie. Idzie w dół ulicą sama, podskakując, szczęśliwa... Czasami wydaje się, że zacznie tańczyć... Jest jeszcze inna przyczyna, która sprawia, że dziewczyny, o których panu mówiłem, nie mogą przychodzić do lokaja. Wielokrotnie dzwoniły do bramy pod jego nieobecność...

Pytanie: Kto im otwierał?

Odpowiedź: Właśnie!... Jeszcze jedno zabawne dziwactwo... Czynił to albo Holender, albo jego żona...

Pytanie: Czy mają samochód?

Odpowiedź: Tak, duży wóz amerykański.

Pytanie: I kierowcę?

Odpowiedź: Nie, Carl wkłada mundur kierowcy i prowadzi.

Pytanie: Czy w domu mieszka jeszcze ktoś ze służby?

Odpowiedź: Kucharka i dwie pokojówki... Pokojówki często się zmieniają...

Pytanie: Czy poza wymienionymi damami bywa tam wiele osób?

Odpowiedź: Nie, tylko parę... Najczęściej po południu zjawia się mężczyzna, około czterdziestki, typowy Amerykanin, ma żółty sportowy wóz...

Pytanie: Czy długo tam przebywa?

Odpowiedź: Godzinę albo dwie...

Pytanie: Czy nie bywa nigdy wieczorem albo w nocy?

Odpowiedź: Zdarzyło mu się to dwa razy mniej więcej przed miesiącem: przyjechał wieczorem około dziesiątej, w towarzystwie młodej kobiety. Wszedł i zaraz wyszedł, pozostawiając swoją towarzyszkę w tym domu.

Pytanie: W obu wypadkach była to ta sama osoba?

Odpowiedź: Nie...”

Maigret wyobrażał sobie sardoniczny i zarazem niemal lubieżny uśmiech starego, gdy wyjawiał te drobne tajemnice.

“... Jest jeszcze mężczyzna łysy, chociaż młody: przyjeżdża taksówką, gdy zapada noc, i odjeżdża z pakietami.

Pytanie: Jakie to pakiety?

Odpowiedź: Mogłyby to być obrazy, ale równie dobrze coś innego. Oto mniej więcej wszystko, co wiem, panie inspektorze... Od lat nie zdarzyło mi się mówić tak wiele i mam nadzieję, że teraz długo nie będę do tego zmuszony... Uprzedzam pana, że bezcelowe byłoby wzywanie mnie na policję albo do sędziego... Tym bardziej proszę nie liczyć, że będę składał zeznania przed sądem przysięgłych, o ile ta sprawa aż tam dotrze... Pogadaliśmy sobie... Podzieliłem się z panem moimi obserwacjami... Od tej chwili należą one do pana i stanowczo odmawiam fatygowania się osobiście pod jakimkolwiek pretekstem”.

W chwilę później Chinquier miał dowieść, że inspektorzy dzielnicowi dobrze znają swój zawód.

- Wychodząc później z domu Holendra, zastanawiałem się, czy też nasz inwalida nie zakpił sobie ze mnie. Pomyślałem, że gdybym mógł sprawdzić jedną z jego wypowiedzi, przemawiałoby to na korzyść reszty. I wtedy poszedłem do sklepu

nabiałowego. Poczekalem na zewnatrz, az dziewczyna zostanie sama. Jest to mala grubaska, ktora mi opisal, niedawno przybyla ze wsi, wciaz jeszcze zachwycona, ze znalazla sie w Paryżu. Wszedlem i zapytalem ja: "Czy zna pani niejakiego Carla?" Zaczerwienila sie, niespokojnie popatrzyla na otwarte drzwi szepczac: "Kim pan jest? Co to moze pana obchodzić? - Proszę tylko o zwykla informacje. Jestem z policji. - Co sie mu zarzuca? - Nic. Mam tylko sprawdzic... Jest pani narzeczonym? - Mozliwe, ze kiedyś sie pobierzemy, ale on mi tego jeszcze nie zaproponowal... - Widuje sie pani z nim wieczorami pare razy w tygodniu? - Kiedy tylko moge... - Czekaja pani na niego pare metrów od domu na avenue Junot? - Kto panu o tym powiedzial?" A poniewaz w tej chwili potężnych rozmiarów kobieta wylonila sie z zaplecza sklepu, dziewczyna miala na tyle przytomności umyslu, ze glosno zawolala: "Nie, proszę pana, nie mamy juz gorgonzoli, ale mamy roquefort... Te sery sa podobne".

Maigret usmiechnal sie:

- Kupil pan roquefort?

- Powiedzialem, ze moja zona lubi tylko gorgonzole... I to wszystko, panie komisarzu... Nie wiem, co moi koledzy zamelduja mi dzisiaj wieczor... Czy sa wiadomości o biednym Lognonie?

- Wlasnie polecilem, aby zatelefonowano do szpitala. Lekarze wciaz jeszcze sie nie wypowiadaja, a on nie odzyskal przytomności. Istnieje obawa, ze druga kula, ktora go raniła ponizej ramienia, naruszyła szczyt prawego pluca, ale w obecnym stanie nie mozna go przeswietlic...

- Zastanawiam sie, co takiego odkryl, ze ktos zdecydowal sie do niego strzelac... Zobaczywszy Holendra bedzie pan rownie zdziwiony, jak ja... Nie wyobrazam sobie, aby taki czlowiek...

- Chinquier, chcialbym pana o jedno prosic... Kiedy panscy ludzie wraca, a zwlaszcza kiedy sluzbe obejmaja ci z nocnego dyzuru, niech wszyscy zajmaja sie kobietami. Niektore, jak mi pan mowil, przychodzily na avenue Junot piechota, wiec moze mieszkaja w tej dzielnicy... Niech skrupulatnie przeczesza wszystkie nocne lokale. Z relacji panского inwalidy wnioskuję, ze nie nalezy szukać na ulicy... Rozumie pan, co mam na mysli?... Moze w koncu uda sie wyłowic chociaz jedna, ktora bywala na avenue Junot...

Bez watpienia jeszcze lepiej bylyby odszukać Marinette Augier. Czy Moers i pracownicy laboratorium, ze swoimi probkami piasku, naprowadza go wreszcie na jakis slad?

Rozdział 4

Wizyta u Holendra

- Halo! Tu ambasada Holandii... słucham...

Młody dźwięczny głos, z lekkim obcym akcentem, przywoływał na pamięć krajobrazy z wiatrakami, jakie widuje się na puszkach zawierających kakao.

- Chciałbym mówić z pierwszym sekretarzem.

- Kto przy telefonie?

- Komisarz Maigret z Policji Kryminalnej.

- Proszę chwilę poczekać. Zobaczę, czy pan Goudekamp jest w swoim gabinecie.

Po chwili znowu usłyszał ten sam głos.

- Pan Goudekamp jest na konferencji, ale mogę pana połączyć z drugim sekretarzem, panem Vries... Proszę nie odkładać słuchawki...

Tym razem męski głos, oczywiście nie tak dźwięczny, z wyraźniejszym obcym akcentem.

- Tutaj Hubert de Vries, drugi sekretarz ambasady Królestwa Holandii.

- Komisarz Maigret, szef brygady śledczej.

- Słucham pana...

Pan de Vries wydał mu się sztywny i podejrzliwy, na pewno młody, bo był dopiero drugim sekretarzem. Prawdopodobnie był blondynem, trochę zbyt dobrze ubranym, w stylu ludzi z Północy.

- Chciałbym uzyskać trochę informacji na temat jednego z waszych obywateli, który od dawna mieszka w Paryżu i którego nazwisko najprawdopodobniej jest panu znane...

- Gdzie się pan w tej chwili znajduje, panie Maigret?

- W moim biurze na Quai des Orfèvres.

- Proszę nie mieć mi za złe, ale za chwilę do pana zadzwonię.

Dzwonek rozległ się po upływie pięciu minut.

- Przepraszam, panie Maigret, ale telefonują do nas różni ludzie, a niektórzy przypisują sobie tytuły, których nie posiadają. Chciał pan pomówić ze mną o obywatelu holenderskim zamieszkałym w Paryżu?

- Nazywa się Norris Jonker...

Dlaczego Maigret doznał wrażenia, że jego niewidzialny rozmówca nagle stał

się bardzo czujny?

- Tak...

- Czy pan go zna?

- W Holandii jest dużo Jonkerów, podobnie jak u was Durandów. Norris to także imię wcale nie rzadkie.

- Ten Norris Jonker jest chyba spokrewniony z bankierami z Amsterdamu.

- Bank Jonker, Haag i Spółka należy do najstarszych w kraju. Stary Kees Jonker zmarł jakieś piętnaście lat temu, a interesy przejął po nim, jeśli się nie mylę, jego syn Hans.

- A Norris Jonker?

- Nie znam go osobiście.

- Ale wie pan o jego istnieniu?

- Oczywiście. Wydaje mi się, że należy do klubu golfowego w Saint-Cloud, gdzie może zetknąłem się z nim, nic o tym nie wiedząc...

- Czy jest żonaty?

- Jak mi mówiono, z Angielką. Czy ja z kolei mogę pana, panie Maigret, spytać, dlaczego interesuje się pan Jonkerem?

- Tylko pośrednio.

- Czy pan się z nim widział?

- Jeszcze nie.

- Czy nie uważa pan, że byłoby prościej uzyskać te informacje od niego?

Mógłbym podać panu jego adres...

- Znam jego adres...

- Norris Jonker rzadko bywa w ambasadzie. Należy do rodziny nie tylko szacownej, ale też znakomitej, więc mam wszelkie podstawy do tego, aby myśleć, że sam jest również człowiekiem godnym szacunku. Znany jest również jako właściciel kolekcji obrazów.

- Nie wie pan też nic bliższego o jego żonie?

- Byłoby mi łatwiej odpowiadać panu, gdybym znał cel tych pytań. Pani Jonker, jak słyszałem, pochodzi z południowej Francji i w swoim czasie wyszła za Anglika, Herberta Muir z Manchesteru, fabrykanta łożysk kulkowych.

- Nie mają dzieci?

- O ile wiem, nie mają.

Maigret zorientował się, że więcej z niego nie wydobydzie, i wtedy

przypomniał sobie numer telefonu pewnego taksatora licytacyjnego, z którym miał nieraz do czynienia i którego często wzywano do sądu jako biegłego.

- Pan Manessi? Tutaj Maigret...

- Proszę chwilę poczekać, zamknę drzwi... Dobra! Słucham pana... Czyżby zajmował się pan teraz malarstwem?

- Jako żywo nie... Czy zna pan Holendra nazwiskiem Norris Jonker?

- Tego, który mieszka przy avenue Junot? Nie tylko znam go, ale nieraz wyceniałem dla niego obrazy. Jest właścicielem jednej z najpiękniejszych kolekcji obrazów z drugiej połowy wieku XIX i początków XX.

- To znaczy, że jest bardzo bogaty?

- Już jego ojciec, bankier, był miłośnikiem malarstwa. Norris Jonker wychował się wśród Van Goghów, Pissarrów, Manetów i Renoirów. Nic dziwnego, że bank wcale go nie obchodził. Odziedziczył znaczną część płócien, a dywidendy, jakie wypłaca mu bank kierowany przez jego brata, pozwalają mu nawet wzbogacać te zbiory...

- Pan zetknął się z nim osobiście?

- Tak. A pan?

- Jeszcze nie.

- Wygląda raczej na angielskiego dżentelmena niż na Holendra... Jeżeli dobrze pamiętam, po studiach w Oxfordzie długo mieszkał w Anglii i mówiono mi, że pod koniec ostatniej wojny był pułkownikiem armii brytyjskiej.

- A jego żona?

- Wspaniała osoba, która w bardzo młodym wieku wyszła za pewnego Anglika z Manchesteru...

- Łóżyska kulkowe, wiem...

- Zastanawiam się, dlaczego interesuje się pan Jonkerem. Mam nadzieję, że nie padł ofiarą złodziei obrazów?

- Nie.

Tym razem komisarz dał wykrętną odpowiedź.

- Czy oni dużo bywają?

- Tego nie wiem.

- Czy Jonker utrzymuje stosunki z innymi miłośnikami malarstwa?

- Oczywiście interesuje się licytacjami, wie, kiedy Drouot, Galliéra, Sotheby czy Nowy Jork mają do zaoferowania jakiś piękny obraz...

- Czy podróżuje?

- Za dużo tych pytań. Podróżował wiele, ale nie wiem, czy także i teraz. Żeby kupić obraz na licytacji, niekoniecznie trzeba trudzić się osobiście. Przeciwnie, wielcy nabywcy najczęściej wysyłają swoich przedstawicieli...

- Krótko mówiąc, czy jest to człowiek, któremu można zaufać?

- Z zamkniętymi oczyma.

- Dziękuję panu.

Nie upraszczało to sprawy i Maigret bez zapału wstał i wyjął ze ściennej szafy płaszcz i kapelusz.

Im bardziej ludzie są znani, ważni, szacowni, tym bardziej ryzykowne jest pukanie do ich drzwi i zadawanie im pytań; nierzadko skarżą się potem osobom wysoko postawionym, a nazajutrz policja ma grube nieprzyjemności.

Zawahał się, czy nie zabrać z sobą któregoś z inspektorów, po czym zdecydował, że sam pójdzie na avenue Junot, aby nadać wizycie mniej oficjalny charakter.

W pół godziny później wysiadł z taksówki przed willą i wręczył swój bilet wizytowy Carlowi, lokajowi w białej kurtce, który zaprowadził go do hallu, podobnie jak poprzednio inspektora Chinquier, ale - może z uwagi na jego wyższy stopień służbowy - kazano mu czekać pięć minut, a nie dziesięć.

- Zechce pan udać się za mną...

Carl poszedł przodem przez salon, gdzie Maigretowi nie było dane spotkać pięknej pani Jonker, i otworzył mu drzwi do gabinetu. Holender nie zmienił stroju ani, jak się zdawało, miejsca. Siedział przy empirowym biurku i przeglądał ryciny używając lupy z wielką podświetlaną soczewką.

Natychmiast wstał i Maigret mógł stwierdzić, że Chinquier opisał mu go dokładnie. W spodniach z szarej flaneli, czarnej aksamitnej marynarce i miękkiej jedwabnej koszuli był wierną kopią angielskiego dżentelmena w domowym zaciszu. Odnaczał się także angielską flegmatycznością. Ani zdziwiony, ani przejęty, zapytał:

- Pan Maigret?

Wskazał gościowi skórzany fotel po drugiej stronie biurka i sam też usiadł.

- Jest mi bardzo przyjemnie, proszę mi wierzyć, że mogę poznać człowieka tak słynnego jak pan...

Mówił powoli, jakby po tylu latach myślał jeszcze po holendersku i każde słowo zmuszony był przekładać.

- Jestem również nieco zdziwiony, że policja po raz drugi mnie odwiedza...

Czekał, patrząc na swoje pulchne, wypielęgnowane ręce. Nie był otyły, posiadał to, co niegdyś nazywano piękną prezencją, i około roku 1900 mógłby służyć za model jakiemuś rysownikowi z "La Vie Parisienne".

Rysy twarzy były trochę rozlane; na niebieskich oczach miał okulary bez oprawki, z cienkimi złotymi zausznikami.

Maigret zaczął z pewnym zażenowaniem:

- Inspektor Chinquier istotnie powiadomił mnie o swojej bytności tutaj. Ale jako inspektor dzielnicowy, nie jest bezpośrednio związany z nami...

- Czy mam przez to rozumieć, że chce pan sprawdzić jego raport?

- Nie całkiem tak. Ale być może nie zadał on wszystkich pytań, jakie powinien był zadać.

Holender, który bawił się lupą, spojrzał Maigretowi w oczy i w jego jasnych źrenicach można było dostrzec jednocześnie dużo złości, ale i pewną naiwność.

- Niech pan posłucha, panie Maigret. Mam lat sześćdziesiąt cztery i mieszkalem w różnych krajach. Dawno osiedliłem się we Francji, gdzie czuję się tak dobrze, że tu kazałem sobie zbudować dom... Nie figuruję w żadnym rejestrze karnym, jak wy to określacie, i nigdy nie byłem w sądzie ani na posterunku policji... Zdaje się, że strzały, jakie padły zeszłej nocy na ulicy, oddano naprzeciwko mojego domu. Jak oświadczyłem inspektorowi, ani ja, ani moja żona nie słyszeliśmy nic, bo nasze sypialnie znajdują się po drugiej stronie... Proszę mi powiedzieć, co myślałby pan, gdyby to pan był na moim miejscu, a ja na pańskim?

- Niewątpliwie uważałbym, że te wizyty są raczej niemiłe, bo nieprzyjemnie jest, gdy obcy ludzie przychodzą do naszego domu...

- Przepraszam! Przepraszam! Nie skarzę się, że widzę pana tutaj, wręcz przeciwnie, bo dzięki temu mogłem poznać kogoś, o kim dużo słyszałem. Ja patrzę na to z innego punktu widzenia. Pański inspektor zadał mi pytania mniej lub więcej niedyskretne, ale ostatecznie niezbyt niedyskretne, zważywszy jego zawód. Nie wiem, jakie będą pańskie pytania, ale dziwi mnie, że urzędnik tej rangi trzusi się osobiście.

- Jeżeli odpowiem, że to w dowód szacunku...

- Pochlebiłoby mi to, ale też wahałbym się, czy mogę panu wierzyć. I może dobrze by było, żebym się dowiedział, czy pańska tutaj obecność jest zgodna z prawem.

- Nie sprzeciwiałbym się temu, panie Jonker, i może pan zadzwonić do

swojego adwokata. Dodam, że przyszedłem bez żadnego nakazu i ma pan prawo wyrzucić mnie za drzwi. Niemniej oczywistą jest rzeczą, że taki brak współpracy z pańskiej strony mógłby się wydać wrogością albo chęcią ukrycia czegoś...

Holender, w swoim fotelu, z uśmiechem sięgnął do pudełka z cygarami.

- Pan pali, jak sądzę?

- Tylko fajkę.

- Proszę się nie krępować.

Sam wybrał cygaro, przyłożył je do ucha sprawdzając, czy trzeszczy, obciął jego koniec złotym narzędziem i zapalił powoli, gestem niemal rytualnym.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział między dwoma kłębam dymu pięknego niebieskiego koloru. - Czy mam sądzić, że na avenue Junot jestem jedynym mieszkańcem zaszczyconym pańską wizytą, czy też przywiązuje pan do tej sprawy takie znaczenie, że będzie pan osobiście chodził od domu do domu i wypytywał lokatorów?

Maigret też starannie zaczął dobierać słowa.

- Nie panu pierwszemu stawiam te pytania na avenue Junot. Moi inspektorzy chodzą, jak pan mówi, od domu do domu, ale w pana przypadku uważałem, że powinienem potrudzić się osobiście...

Holender podziękował skinieniem głowy, ale nie uwierzył ani trochę.

- Spróbuję więc zadowolić pana, o ile nie zechce pan wtargnąć na teren mojego życia osobistego.

Maigret już otwierał usta, aby odpowiedzieć, gdy zadzwonił telefon.

- Pozwoli pan?

Jonker podniósł słuchawkę, odpowiedział po angielsku bardzo krótko, ze zmarszczonymi brwiami. Szkolna angielszczyzna komisarza była mierna i nie na wiele przydała mu się podczas pobytu w Londynie, a jeszcze mniej w dwóch podróżach do Stanów Zjednoczonych, gdzie jego rozmówcy okazywali jednak dużo dobrej woli, aby go zrozumieć.

Niemniej zrozumiał, że Holender tłumaczy się, iż jest zajęty, i na pytanie zadane przez niewidzialnego interlokutora, odpowiada:

- Z tej samej firmy, tak... Wkrótce do pana zatelefonuję...

Czy nie znaczyło to, że jest zajęty przez kogoś z tej samej branży, co wcześniej przyjęty przez niego inspektor?

- Przepraszam... Teraz słucham pana...

Przybrał wygodną pozę, lekko odchylił się do tyłu, ręce położył na poręczach fotela, niekiedy spoglądając na biały popiół na końcu cygara, który powoli się wydłużał.

- Pytał mnie pan, panie Jonker, co zrobiłbym na pana miejscu. Chciałbym z kolei prosić, aby pan postawił się w mojej sytuacji. Kiedy w tej czy innej dzielnicy dojdzie do zbrodni, zawsze znajdzie się wśród sąsiadów ktoś, kto sobie przypomni jakieś niezwykle szczegóły, które zrazu go nie uderzyły albo do których nie przywiązywał znaczenia.

- Jak mi się zdaje, wy określacie to jako plotki?

- Jak pan woli. W każdym razie naszym obowiązkiem jest sprawdzać je, bo chociaż wielu jest fantastów, niektórzy naprowadzają na bardzo cenne ślady.

- A zatem wróćmy do tych plotek.

Komisarz nie miał jednak zamiaru zdążać prosto do celu. Nie potrafił jeszcze określić, czy jego rozmówca jest porządnym, choć złośliwym człowiekiem, czy też jest to ktoś bardzo silny, ktoś, kto ma się na baczności, udając naiwnego.

- Pan jest żonaty, panie Jonker?

- Pana to dziwi?

- Nie. Mówiono mi, że pani Jonker jest bardzo piękną kobietą.

- Raz jeszcze pana pytam: czy pana to dziwi? Owszem, jestem panem w pewnym wieku, niektórzy powiedzieliby: starym, dodając może: dość dobrze zakonserwowanym. Moja żona ma dopiero trzydzieści cztery lata, a zatem różnica wynosi dokładnie trzydzieści lat. Uważa pan, że stanowimy jakiś odosobniony przypadek, w Paryżu czy gdzie indziej? Czy jest w tym coś dziwnego?

- Czy pani Jonker jest z pochodzenia Francuzką?

- Widzę, że zdążył się pan poinformować. Tak, urodziła się w Nicei, ale ja poznałem ją w Londynie.

- Czy to było jej pierwsze małżeństwo?

Jonker nie ukrywał pewnego zniecierpliwienia, które mogłoby być zrozumiałe u dżentelmena urażonego, że ktoś chce wtargnąć w jego życie prywatne, a co gorsza, mówi o jego żonie.

- Była panią Muir, zanim została panią Jonker - powiedział jeszcze bardziej oziębłym tonem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje cygaro, po czym dodał:

- Trzeba panu także wiedzieć, skoro pan się tak upiera przy tym temacie, że

nie wyszła za mnie dla moich pieniędzy, bo już przedtem była osobą bogatą.

- Jak na człowieka o pańskiej pozycji, wychodzi pan i bywa dość mało, panie Jonker.

- Czy to zarzut? Proszę sobie wyobrazić, że większą część życia spędziłem poza domem: tutaj, w Londynie, w Stanach Zjednoczonych, w Indiach, w Australii i jeszcze gdzie indziej. Kiedy będzie pan w moim wieku...

- Niewiele mi do tego brakuje...

- Gdy będzie pan w moim wieku, powtarzam, zapewne będzie pan wolał swój dom niż wielkie przyjęcia, kluby i nocne lokale...

- Rozumiem pana tym lepiej, że pewnie jest pan bardzo zakochany w pani Jonker...

Tym razem były pułkownik armii angielskiej zeszywniał i odpowiedział tylko gniewnym ruchem głowy, skutkiem czego opadł popiół z jego cygara.

Ryzykowna chwila, którą Maigret odsuwał, ile tylko mógł, już się zbliżała; komisarz dał sobie jeszcze krótki moment zwłoki, zapalając fajkę.

- Użył pan określenia: plotki, i ja jestem gotów uważać, jeśli pan mnie o tym zapewni, że niektóre informacje, jakie otrzymaliśmy, należą właśnie do tej kategorii...

Czy Holendrowi lekko nie zadrżała ręka? W każdym razie sięgnął po kryształową karafkę i napełnił sobie kieliszek.

- Czy lubi pan curaçao?

- Dziękuję.

- Woli pan whisky?

Nie czekając na odpowiedź nacisnął dzwonek i niemal natychmiast pojawił się Carl.

- Proszę o szkocką... Woda sodowa czy zwykła?

- Sodowa...

Nastąpił rodzaj antraktu: obaj zamilkli i Maigret rzucił okiem na półki z książkami, pokrywające całe ściany. Zawierały przede wszystkim dzieła z zakresu sztuki, i to nie tylko malarstwa, ale też architektury i rzeźby, od czasów najdawniejszych; nie brakowało również oprawionych katalogów z wielkich licytacji za okres około czterdziestu lat.

- Dziękuję, Carl... Czy powiedziałeś pani, że jestem zajęty?

Przez uprzejmość rozmawiał ze swoim służącym po francusku.

- Czy wciąż jest na górze?

- Tak, proszę pana...

- A teraz, panie Maigret, piję pańskie zdrowie i czekam na zapowiedziane plotki...

- Nie wiem, jak się rzecz ma w Holandii, ale w Paryżu wiele osób, zwłaszcza starszych, częściej na Montmartrze niż gdzie indziej, większą część czasu spędza przy oknie... I tak powiedziano nam, że często, niekiedy dwa albo trzy razy w tygodniu, wieczorem, młode kobiety dzwonią do pańskiej bramy i ktoś wpuszcza je do domu...

Uszy Holendra nagle poczerwieniały; nie odpowiadając sięgnął po cygaro.

- Mógłbym sądzić, że chodzi tu o przyjaciółki pani Jonker, gdyby osoby te nie należały do pewnego szczególnego środowiska co czyniłoby tę hipotezę ubliżającą...

Rzadko zdarzało mu się dobierać słowa z takim namysłem. Rzadko kiedy również czuł się tak zażenowany.

- Pan zaprzecza, że takie wizyty się odbywały?

- Jeżeli pan, panie Maigret, osobiście się potrudził, to znaczy, że jest pan pewny swoich informacji. Niech pan przyzna! Niech pan także przyzna, że gdybym wpadł na niefortunny pomysł, aby zaprzeczać pańskim słowom, skonfrontowałby mnie pan z jednym albo z wieloma świadkami...

- Pan mi nie odpowiedział.

- Co jeszcze mówiono panu na temat tych młodych kobiet?

- Postawiłem panu pytanie, a pan stawia mi swoje.

- Jestem u siebie, prawda? Gdybym znalazł się u pana w biurze, sytuacja każdego z nas byłaby inna...

Komisarz wolał ustąpić.

- Załóżmy więc, że te osoby należą do kategorii tak zwanych kobiet lekkiego autoramentu. Nie tylko wchodzą i wychodzą, ale spędzają w tym domu część nocy, a czasem całą noc...

- Tak.

Nie odwracał spojrzenia, przeciwnie, ale jego niebieskie oczy zmętniały i poszarzały.

Chcąc dodać sobie odwagi, aby ciągnąć rzecz dalej, komisarz musiał pomyśleć o Lognonie na szpitalnym łóżku, o nieznanym, który, posługując się najbardziej morderczą bronią, z premedytacją celował w brzuch.

Jonker, na pozór równie niewzruszony jak gracz w pokera, nie ułatwiał mu sprawy.

- Jeżeli się mylę, proszę mi przerwać. Najpierw myślałem, że te osoby przychodzą do pańskiego lokaja; później dowiedziałem się, że ma on przyjaciółkę i że czasem wychodzi z nią właśnie podczas wspomnianych przeze mnie wizyt. Czy mogę spytać, gdzie znajduje się pokój pańskiego służącego?

- Na drugim piętrze, obok pracowni.

- Na tym samym piętrze sypiają pokojówki i kucharka?

- Nie. Dom ma przybudówkę od strony ogrodu, tam mieszkają te trzy kobiety.

- Często zdarzało się panu otwierać drzwi wieczornym gościom?

Nie zaprzeczył ani nie potwierdził, wciąż wpatrując się uporczywie w oczy komisarza.

- Proszę mi wybaczyć, ale dodam, że według moich informacji pani Jonker wielokrotnie wpuszczała je do domu.

- Widzę, że dobrze nas tu pilnują. Prawda? Jeszcze lepiej niż stare baby w holenderskich wioskach. Czy zechce mi pan teraz powiedzieć, jaki związek widzi pan pomiędzy tymi wizytami, rzekomymi albo rzeczywistymi, a strzelaniną na ulicy? Nie mogę bowiem uwierzyć, że ktoś godzi we mnie i że z powodu mi nie znanego, próbuje się zrobić ze mnie osobą niepożądaną...

- O tym nie ma mowy i ja staram się grać w otwarte karty. Sposób, w jaki rozegrał się dramat zeszłej nocy, użyta przy tym broń i parę innych szczegółów, których nie mogę panu zdradzić, każą mi przypuszczać, że napastnik był zawodowcem.

- I pan sądzi, że utrzymuję stosunki z tego rodzaju ludźmi?

- Wysunę przypuszczenie zupełnie dowolne. Uchodzi pan za człowieka bardzo bogatego, panie Jonker. W tym domu jest więcej dzieł sztuki niż w wielu muzeach prowincjonalnych, a ich wartość wprost trudno ocenić. Czy działa tu system alarmowy?

- Nie. Prawdziwi zawodowcy, jak pan ich określa, kpią sobie z najdoskonalszych systemów alarmowych, przekonano się o tym właśnie niedawno w pańskim kraju. Wolę dobre ubezpieczenie.

- Czy nigdy nie próbowano się tu włamać?

- O ile mi wiadomo, nie.

- Czy jest pan pewny swoich służących?

- Carla i kucharki, którzy są u mnie od przeszło dwudziestu lat, jestem zupełnie pewny. Mniej znam pokojówki, ale moja żona przed zatrudnieniem ich

zażądała poważnych referencji. Ale pan wciąż jeszcze mi nie wyjaśnił, jaki związek zachodzi między, jak pan to mówi, odwiedzającymi mnie osobami a...

- Zaraz do tego przejdę...

Dotąd Maigret wcale nieźle się spisywał i w nagrodę łyknął sobie whisky.

- Przypuśćmy, że szajka złodziei obrazów, jakich teraz dużo grasuje po świecie, zaplanowała włamanie do pańskiego domu... Przypuśćmy, że inspektor dzielnicowy miał jakieś informacje, ale za skąpe, aby mógł działać bezpośrednio... Przypuśćmy, że zeszłej nocy, jak w nocie poprzednie, ów inspektor usadowił się naprzeciwko tego domu, aby przyłapać włamywaczy na gorącym uczynku...

- Czy nie uważa pan, że byłoby to nierozważne z jego strony?

- My w naszym zawodzie, panie Jonker, często jesteśmy zmuszeni postępować nierozważnie...

- Przepraszam...

- Gangi specjalizujące się w kradzieży dzieł sztuki, chociaż przy okazji najmują mordercę, na ogół składają się z ludzi inteligentnych, wykształconych, którzy nie biorą się do działania nie zasięgnąwszy uprzednio informacji... Ponieważ jest pan pewny swojej służby, mogę tylko sądzić, że jedna z tych osób...

Czy Jonker wierzył w te wywody komisarza, czy też wietrzył podstęp, tego niepodobna było odgadnąć...

- Młode osoby pracujące w nocnych kabaretach są mniej lub bardziej związane z tym, co we Francji nazywa się środowiskiem przestępczym...

- Czy przyszedł pan, aby zażądać ode mnie listy nazwisk, adresów i numerów telefonów osób, które tu przychodziły?

Jego ton był coraz bardziej ironiczny.

- To mogłoby może okazać się użyteczne, ale ja przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co robiły one w pańskim domu?

Uff? Komisarz był już prawie u kresu sił. Jonker, nieruchomy, z wygasłym cygarem w palcach, wciąż patrzył mu prosto w oczy, bez mrugnięcia.

- No, dobrze! - rzekł wreszcie, wstając.

I położywszy niedopałek w niebieskiej popielniczce, przeszedł parę kroków po pokoju.

- Na początku tej rozmowy zapowiedziałem panu, że odpowiem na wszystkie pańskie pytania, pod warunkiem, że nie będą one dotyczyć mego życia prywatnego. A pan bardzo zręcznie, i tu należą się panu gratulacje, zabrał się do tego, aby mówić

właśnie o życiu osobistym, wiążąc je z wypadkami minionej nocy.

Zatrzymał się przed Maigretem, który z kolei też się podniósł z fotela.

- Myślę, że pan długo już służy w policji?

- Dwadzieścia osiem lat.

- Przypuszczam, że przeprowadzał pan śledztwo nie tylko w świecie przestępców. Czy po raz pierwszy spotyka pan człowieka w moim wieku i z moją pozycją społeczną, ulegającego pewnym instynktom, i czy uważa pan to za karygodne? Paryż nie ma opinii miasta purytańskiego. W moim kraju wytykano by mnie palcami, rodzina może by się mnie wyrzekła. Wielu mieszkających tutaj cudzoziemców wybrało Francję z powodu swobody, z jakiej korzysta się tu w tej dziedzinie...

- Czy mogę spytać, jak pani Jonker...?

- Pani Jonker nie jest purytanką i zna życie. Wie, że niektórzy mężczyźni w moim wieku potrzebują zmiany, to ich pobudza... Zmusił mnie pan do mówienia o sprawach intymnych i myślę, że teraz jest pan zadowolony...

Wydawało się, że uważa rozmowę za skończoną; widać to było po sposobie, w jaki patrzył na drzwi.

Maigret jednak nie dawał za wygraną; rzekł łagodnie, półgłosem:

- Przed chwilą mówił pan o nazwiskach, adresach, numerach telefonów...

- Mam nadzieję, że nie będzie mnie pan o nie wypytywał. Osoby te nie prowadzą wprawdzie przykładowego życia, ale nie muszą opowiadać się policji i byłoby nieprzyzwoitością z mojej strony, gdybym je stawiał w tak kłopotliwej sytuacji...

- Mówił mi pan, że wychodzi pan mało i nie bywa w kabaretach. A zatem jak poznał pan te osoby?

Znowu milczenie. Znowu wahanie.

- Czy pan nie wie, jak się to odbywa? - westchnął w końcu.

- Wiem, że istnieją stręczycielki i stręczyciele, ale ich działalność jest karalna.

- Czy karze podlegają również ich klienci?

- W gruncie rzeczy można by oskarżyć ich o współudział, ale zazwyczaj...

- Zazwyczaj pozostawia się klientów w spokoju, prawda? Wobec tego, panie Maigret, nie mam już panu nic więcej do powiedzenia...

- Mnie pozostaje tylko zwrócić się do pana z pewną prośbą...

- Czy naprawdę będzie to prośba? Czy za tym słowem nie kryje się coś

innego?

Dwaj mężczyźni rozpoczynali niemal zdecydowaną walkę.

- Mój Boże, jeśli pan ją odrzuci, może będę zmuszony uciec się do środków prawnych.

- A jak ma się rzecz z tą prośbą...?

- Chciałbym rozejrzeć się w pańskim domu.

- Czy nie należałoby powiedzieć: zrobić rewizję?

- Pan zapomina, że jak dotąd moim punktem wyjścia jest hipoteza, że być może jest pan ofiarą...

- I chce mnie pan chronić?

- Być może.

- Więc chodźmy...

Nie było już mowy o proponowaniu komisarzowi cygara albo czegoś do picia. Jonker nagle zaczął się zachowywać jak wielki pan.

- Obejrzał pan ten pokój, gdzie spędzam znaczną część dnia, czy mam otworzyć szuflady?

- Nie.

- Zwracam panu uwagę, że w prawej szufladzie leży pistolet automatyczny, Lüger, który mam z wojny.

Pokazał broń i dodał:

- Jest nabity... Mam jeszcze drugi, brauning, w mojej sypialni, również nabity... pokażę go panu później... Tutaj jest salon... Nie przyszedł pan, aby oglądać obrazy, ale radzę rzucić okiem na tego Gauguina, który uchodzi za jedno z najpiękniejszych dzieł tego artysty i którego zamierzam w testamencie przekazać muzeum w Amsterdamie... Proszę tędy... Zna się pan na dywanach?... Chodźmy dalej... To jadalnia, a ten obraz na lewo od kominka jest ostatnim dziełem, jakie namalował Cézanne... Te drzwi prowadzą do niewielkiego pokoju, któremu chciałem nadać ton bardzo intymny, bardzo kobiecy; jest to mały salon mojej żony... Kredens... tu Carl czyści srebra... Jest to angielskie srebro stołowe z wieku XVII, które ma tylko jedną wadę: jest ciężkie w użyciu... Kuchnia jest w suterenie... Tam też jest kucharka... Chce pan zejść na dół?

Jego swoboda, zamierzona lub nie, miała w sobie coś obraźliwego.

- Chodźmy więc na górę... Schody pochodzą z pewnego starego zamku z okolic Utrechtu... Na lewo moje pokoje...

Otwierał drzwi jak agent pośredniczący w wynajmowaniu willi.

- Znowu gabinet, widzi pan, tak jak na parterze... Lubię książki i są one dla mnie bardzo użyteczne... Te klasery na lewo zawierają historię kilku tysięcy obrazów wraz ze spisem ich kolejnych właścicieli i cen, jakie osiągały na kolejnych licytacjach... Moja sypialnia... W stoliku nocnym wspomniany pistolet... Pospolity 6,35, który w razie napadu na nic by się nie przydał...

Wszędzie, nawet nad schodami, obrazy niemal przytykały do siebie, a najpiękniejsze znajdowały się nie w salonie, lecz w sypialnym pokoju Holendra, pokoju bardzo skromnym, z angielskimi meblami i głębokimi skórzanymi fotelami.

- To moja łazienka... Przejdźmy teraz na drugą stronę, ale pozwoli pan, że zobaczę, czy na pewno nie ma tu mojej żony...

Zapukał, otworzył drzwi, zrobił parę kroków.

- Proszę za mną... Jej buduar, do którego wyszukałem te dwa Fragonardy... Berzery należały do pani Pompadour... Gdyby pan, panie Maigret, występował tutaj jako amator sztuki, a nie jako policjant, z radością zatrzymywałbym się z panem przy każdym z tych przedmiotów... Pokój sypialny... Cały obity aksamitem poziomkowego koloru... Łazienka...

Komisarz nie wszedł, ale dostrzegł wannę podobną raczej do wazy z czarnego marmuru; schodziło się do niej po kilku stopniach.

- Wejdźmy wyżej... Ma pan prawo zobaczyć wszystko, prawda?

Otworzył jeszcze jedno drzwi.

- Pokój Carla... A dalej jego łazienka... Niech pan zauważy, że on ma telewizor... Woli czarno-białe obrazy niż dzieła mistrzów...

Zapukał do drzwi naprzeciw; ciężkie, bogato rzeźbione; one też zapewne pochodziły z jakiegoś zamku.

- Czy można, kochanie? Pokazuję dom panu Maigret, który dowodzi brygadą śledczą... Czy tak, panie komisarzu?...

Maigret właśnie doznał silnego wstrząsu. Pośrodku oszklonego atelier, przed sztalugami, stała biała postać, na której widok przypomniało się mu słowo wypowiedziane przez Lognona:

- Widmo...

Biała bluza malarska, którą miała na sobie pani Jonker, nie była podobna do tych, jakie się zwykle widuje. Kojarzyła się raczej z dominikańskim habitem, a materiał odznaczał się grubością i miękkością kąpielowego płaszcza. Ponadto żona

Holendra miała biały turban z tegoż materiału.

W lewej ręce trzymała paletę, w prawej pędzel, a jej oczy z ciekawością spoczęły na komisarzu.

- Dużo o panu słyszałam, panie Maigret, i bardzo mi przyjemnie pana poznać. Proszę wybaczyć, że nie podaję panu ręki...

Odkładając pędzel, wytarła rękę w swój biały strój, na którym zostały zielone smugi.

- Mam nadzieję, że nie jest pan znawcą sztuki... bo w takim razie błagałabym: niech pan nie patrzy na to, co robię...

Było coś zaskakującego w tym, że przeszedłszy obok tylu arcydzieł zawieszonych na ścianach tego domu, znalazł się przed płótnem, na którym widać było tylko bezkształtne plamy.

Rozdział 5

Pokój z graffiti

W tym momencie zaszło coś, czego Maigret nie potrafiłby określić, jakaś zmiana tonu, rodzaj metamorfozy, co nagle nadało większą wagę gestom, wyrazom, postawom. Czy sprawiła to obecność młodej kobiety, wciąż udrapowanej w dziwny kostium, czy też atmosfera tego pokoju?

W ogromnym kominku z białego kamienia polana paliły się z trzaskiem, a płomienie zdawały się igrać jak chochliki.

Komisarz zrozumiał teraz, dlaczego zasłony w pracowni, które było widać z okien Marinetty Augier, były prawie stale zaciągnięte. Atelier oszklone było nie z jednej tylko strony, lecz z dwóch, co pozwalało uzyskiwać pożądane światło.

Zasłony, zrobione z czarnej, grubej juty, wyblakły i skurczyły się w praniu, tak że już do siebie nie przylegały.

Z jednej strony widać było dachy aż do Saint-Quen; z drugiej prawie cały Paryż ze skrzydłami Moulin-de-la-Galette na pierwszym planie, zarysy bulwarów z szerszym pasem Pól Elizejskich, meandry Sekwany i połączoną kopułę Inwalidów.

Ale nie ta panorama zafascynowała Maigreta, którego zmysły stały się czujne. Człowiek, nagle zanurzony w obcym środowisku, z trudnością chwyta je w całości, jednak jemu, choć w małej mierze, właśnie się to udało.

Nagle wszystko wydało mu się niezwykle, na przykład dwie nagie jaskrawobiałe ściany z ruchliwymi płomieniami kominka pośrodku jednej z nich.

Kiedy dwaj mężczyźni weszli, pani Jonker malowała. Czy biorąc rzecz logicznie, na tych ścianach nie powinny były wisieć obrazy? A na podłodze, jak we wszystkich pracowniach artystów, nie powinny stać inne płótna jedno przy drugim? Tymczasem drewniana polakierowana podłoga była równie naga jak ściany.

Przy sztalugach na stoliku leżało pudło pełne tub z farbami. Na innym stole, dalej od sztalug, a był to stół z białego drewna, jedyny pospolity przedmiot, jaki dotychczas zauważył komisarz w tym domu, w nieładzie leżały blaszane puszki, butelki, słoiki i ścierki. Umeblowania pokoju dopełniały dwie stare szafy, krzesło i fotel, którego brązowy plusz zaczął się już wycierać.

Tę jakąś anormalność można było tylko przeczuwać, ale była ona alarmująca, a wypowiedziane przez Holendra zdanie jeszcze bardziej zastanowiło Maigreta.

Jonker zwrócił się do żony:

- Komisarz przyszedł tu nie po to, żeby podziwiać moje obrazy, ale rzecz dziwna, aby rozprawić o zazdrości. Zdaje się, jest zaskoczony tym, że nie wszystkie kobiety są zazdrosne.

Mogło to ująć za banalną uwagę, trochę ironiczną, ale dla Maigreta zabrzmiało jak ostrzeżenie, które Jonker skierował ku żonie, i przysięgłby, że ona mrugnięciem powiek potwierdziła, że je zrozumiała.

- Czy pańska żona, panie Maigret, jest zazdrosna?

- Wyznam panu, że nie dała mi jeszcze sposobności, abym ją o to zapytał.

- Przez pana biuro na pewno przewija się dużo kobiet?

Czyżby się mylił? Wydało mu się, że przejmuje coś jakby sygnał, który tym razem skierowany był do niego.

Stało się to w chwili, gdy usiłował sobie przypomnieć, czy tej kobiety, którą miał przed sobą, nie widział już kiedyś na Quai des Orfèvres. Ich spojrzenia spotkały się. Na pięknej twarzy wciąż miała lekki i uprzejmy uśmiech pani domu przyjmującej gości. Ale czy on nie odczytywał z jej piwnych i bardzo dużych oczu, z jej długich trzepoczących rzęs czegoś całkiem innego?

- Bardzo proszę - powiedział - niech pani z mojego powodu nie przerywa pracy...

Bo pani Jonker odłożyła paletę na stolik, zdjęła biały kawałek tkaniny, który obejmował jej czoło jak turban i potrząsnęła głową, by doprowadzić do porządku swoje czarne włosy.

- Jest pani z pochodzenia Francuzką, jak mi się zdaje.

- Norris to panu powiedział?

Pytanie było naturalne, banalne. Czy mylił się dopatrując się w nim jakiegoś ukrytego znaczenia?

- Wiedziałem to, zanim tu przyszedłem.

- A zatem zasięgnął pan o nas informacji?

Jonker mówił teraz mniej lekceważącym tonem niż w swoim gabinecie na parterze czy też wtedy, gdy - z lekko pogardliwą ironią niemal biegiem, niczym przewodnik w muzeum lub w starym zamku - pokazywał Maigretowi pokoje tego domu.

- Jesteś zmęczona, kochanie? Miałabyś ochotę wypocząć?

Nowy sygnał? Rozkaz?

Zdjęła otulający ją burnus i wyłoniła się z niego w czarnej obcisłej sukni.

Nagle wydała się wyższa, a jej pełne kształty miały w sobie ponętą dojrzałość.

- Czy od dawna pani maluje?

Zamiast odpowiedzieć wprost, wyjaśniła:

- Trudno żyć w domu obwieszonym płótnami, z mężem, którego jedyną namiętnością są obrazy, i nie ulec pokusie wzięcia pędzla do ręki. Nie mogąc mierzyć się z mistrzami, których mam przed oczyma od świtu do nocy, musiałam się zadowolić malarstwem abstrakcyjnym. Ale niech pan, broń Boże, nie pyta, co przedstawiają moje bohomyzy...

Lata spędzone w Anglii i w Paryżu nie zatarty doszczętnie jej południowego akcentu i Maigret coraz uważniej wsłuchiwał się w najmniejsze niuanse.

- Pani urodziła się w Nicei?

- I to również panu powiedziano?

Teraz przyszła jego kolej, aby patrząc jej w oczy przesłał swoje zlecenie.

- Bardzo lubię kościół Świętej Reparaty.

Nie zarumieniła się, ale lekko podkreśliła wagę jego słów:

- Widzę, że zna pan miasto.

Maigret tym jednym słowem przywołał na pamięć starą Niceę, jej najuboższą dzielnicę, wąskie uliczki, do których rzadko dociera słońce i gdzie jak rok długi pomiędzy domami suszy się bielizna.

Teraz był już prawie pewny, że właśnie tam się urodziła, w jednej z tych walących się ruder, w których gnieździ się piętnaście albo dwadzieścia rodzin, a dzieciarnia roi się w klatkach schodowych i na podwórkach.

Zdawało mu się nawet, że ona milcząco to potwierdzała swoją postawą i że oni oboje, w obecności męża, któremu umykały te subtelności, wymienili coś w rodzaju masońskiego znaku.

Maigret mógł sobie być komisarzem i szefem brygady śledczej Policji Kryminalnej, ale przecież pochodził z ludu.

Ona mogła żyć wśród płócien godnych Luwru, ubierać się u wielkich krawców, spędzać piękne wieczory w Manchesterze i Londynie, strojna w diamenty, rubiny i szmaragdy, ale wychowała się w cieniu Świętej Reparaty, i Maigret nie dziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że sprzedawała kwiaty na tarasach placu Masseny.

Teraz każde z nich grało swoją rolę, jak gdyby pod wypowiedzanymi słowami wymieniali inne, które nie dotyczyły syna holenderskiego bankiera.

- Czy to dla pani mąż zbudował to wspaniałe atelier?

- Ach, nie... Kiedy je budował, jeszcze mnie nie znał... Miał inną przyjaciółkę, którą bardzo kochał. Ona była prawdziwą malarką i jeszcze dziś wystawia w galeriach swoje prace... Zastanawiam się, dlaczego się z nią nie ożenił... Zapewne nie była już tak młoda. Co o tym powiesz, Norris?

- Nie pamiętam...

- Widzi pan, jaki on jest dobrze wychowany i delikatny!

- Przed chwilą zapytałem, czy od dawna pani maluje?

- Nie wiem... Od wielu miesięcy...

- Czy w tej pracowni spędza pani stale część dnia?

- To prawdziwe śledztwo - zażartowała. - Z pańskich pytań widać, że nie jest pan kobietą ani panią domu... Gdyby pan na przykład spytał mnie, co robiłam wczoraj o tej porze, na pewno trudno by mi było odpowiedzieć... Jestem leniwa... I twierdzę, że leniuchom czas płynie szybciej niż innym, chociaż większość ludzi utrzymuje, że jest przeciwnie. Wstaję późno... Snuję się po domu... Rozmawiam z moją pokojówką... Przychodzi kucharka po instrukcje. Zbliża się pora obiadu, a ja nie mam jeszcze poczucia, że zaczęłam żyć...

- Dużo mówisz, kochanie...

A Maigret:

- Nie wiedziałem, że malować można także w nocy...

Tym razem Jonkerowie, mąż i żona, wymienili spojrzenia. Holender odpowiedział pierwszy.

- Nie zdarzało się to zapewne impresjonistom, rozmiłowanym w grach światła słonecznego, ale ja znam modernistów, którzy uważali, że sztuczne światło podnosi walor koloru o wiele tonów...

- Pani dlatego maluje wieczorami?

- Maluję, kiedy mam ochotę.

- Chęć bierze panią po kolacji i trzyma przy sztalugach do godziny drugiej nad ranem...

Usiłowała się uśmiechnąć:

- Doprawdy, przed panem nie można nic ukryć...

Maigret wskazywał na czarną zasłonę w dużym oknie, które wychodziło na avenue Junot.

- Jak pani widzi, te zasłony nie przylegają już do siebie dokładnie.

Zauważyłem, że prawie na każdej ulicy znajdzie się przynajmniej jedna osoba cierpiąca na bezsenność. Rozmawiałem o tym przed chwilą z pani mężem. Ludzie bardziej kulturalni czytają albo słuchają muzyki. Inni wyglądają przez okno.

Jonker pozostawiał teraz inicjatywę żonie, jakby nie czuł się pewny na jej terenie. Zakłopotany, udawał, że tylko od niechcienia słucha ich rozmowy, i kilka razy przystanął przy oknie, przed panoramą Paryża.

Niebo wciąż jaśniało bielą, coraz bardziej świetlistą, zwłaszcza na zachodzie, gdzie, jak się domyślał, znikło powoli słońce.

- Pani płótna znajdują się w tych szafach?

- Nie... Chce się pan przekonać?.. Nie wezmę panu za złe tej niedyskrecji...

Ostatecznie wypełnia pan swój obowiązek...

Otworzyła jedną z szaf pełną zwojów papieru rysunkowego, zapasowych tub z farbami, butelek, pudeł; jak na stole, tak i tu wszystko było w nieładzie.

W drugiej szafie były tylko trzy białe płótna z etykietkami pewnego kupca z ulicy Lepic.

- Jest pan zawiedziony? Spodziewał się pan znaleźć szkielec?

Była to aluzja do angielskiego przysłowia, wedle którego każda rodzina ma w szafie swój szkielec.

- Trzeba by dużo czasu, aby postarać się o szkielec - odpowiedział ze zmarszczonym czołem. - Na razie Lognon leży jeszcze na szpitalnym łóżku...

- O kim pan mówi? Kto się tak śmiesznie nazywa?

- Jeden z inspektorów...

- Ten, którego napadnięto tej nocy?

- Czy jest pani pewna, że w chwili, kiedy padły strzały, ściśle mówiąc trzy strzały, była pani w swoim pokoju?

- Sądzę, panie Maigret - wtrącił Jonker - że tym razem posunął się pan za daleko...

- W takim razie niech pan sam mi odpowie. Pani Jonker część swojego czasu spędza na malowaniu, zwłaszcza wieczorami, często do późna w noc... Tymczasem ja zastaję ją w prawie pustej pracowni.

- Czy istnieje we Francji prawo nakazujące ludziom, aby meblowali pracownie malarskie?

- W każdym razie można było oczekiwać, że zobaczy się tutaj pewną ilość płócien, skończonych lub nie... Co pani robi ze swoimi dziełami?

Czy znak, jaki dała mężowi, nie sugerował, że teraz ona jemu przekazuje ciężar prowadzenia rozmowy?

- Mirella nie ma pretensji, aby być malarką...

Po raz pierwszy usłyszał to imię. Kiedyś zapewne nazywano ją Mireille.

- Zazwyczaj niszczy swoje dzieła, gdy tylko je ukończy.

- Chwileczkę, panie Norris... Proszę mi wybaczyć, że raz jeszcze okazuję się drobiazgowy... Zdarzało mi się bywać u malarzy... Kiedy chcą zniszczyć obraz, co z nim robią?

- Tną na kawałki, palą albo wrzucają do pojemnika na śmieci...

- Ale przedtem?

- Nie rozumiem?

- Dziwi mnie to u takiego amatora sztuki jak pan. Uważa pan, że wyrzucają także ramy?... Otóż w tej szafie są trzy całkiem nowe ramy...

- Moja żona czasem daje w prezencie obrazy, z których jest najmniej zadowolona...

- To są te, po które ktoś przychodzi wieczorem?

- Wieczorem albo za dnia...

- Jeśli chodzi o dzieła pańskiej żony, jest ich więcej, niż mógłbym wywnioskować z jej słów...

- Są przecież inne obrazy...

- Czy jestem jeszcze potrzebna? - zapytała pani Jonker. - Czy nie miałby pan ochoty zejść ze mną na dół i wypić filiżankę herbaty?

- Ale nie w tej chwili. Pani mąż zechciał oprowadzić mnie po domu, ale nie pokazał mi jeszcze tego, co znajduje się za tymi drzwiami.

W głębi pracowni były masywne drzwi z ciemnego dębu.

- Kto wie? Może w końcu znajdziemy jakieś pani dzieła?...

W powietrzu czuło się pewne napięcie, rodzaj prądu elektrycznego. Głosy stały się teraz bardziej matowe, bardziej stanowcze.

- Obawiam się, że nie, panie Maigret.

- Dlaczego jest pan taki pewny?

- Bo już od miesięcy, jeżeli nie od lat, drzwi tych nie otwierano... Kiedyś był to pokój osoby, o której mówiła panu moja żona, powiedzmy: gdzie nieraz zdarzało się jej wypoczywać pomiędzy dwoma etapami pracy!...

- I pan zachowuje je niczym sanktuarium? Po tylu latach?

Nacierał ostro, aby wyprowadzić przeciwnika z równowagi. Wydawało mu się, że przyszła chwila, aby do końca wyzyskać swoją przewagę; tym razem, wyjątkowo, scena nie rozgrywała się w biurze na Quai des Orfèvres, lecz w pracowni artysty, z której widać było całą panoramę Paryża.

Pięści Holendra zacisnęły się, ale zachował panowanie nad sobą.

- Jestem przekonany, panie Maigret, że gdybym niespodziewanie znalazł się w pańskim domu, gdybym poszperał po kątach i zasypywał pytaniami pańską żonę, wiele szczegółów pańskiego życia prywatnego uznałbym za dziwaczne, a nawet zagadkowe. Jak pan wie, każdy z nas ma swoją mentalność, swój sposób zachowania, które są niezrozumiałe dla innych... Ten dom jest dość duży... Ja, praktycznie rzecz biorąc, zajmuję się tylko moimi obrazami... Nasze życie towarzyskie jest raczej ograniczone i moja żona, jak sama panu powiedziała, dla rozrywki trochę maluje. Czy to dziwne, że nie przywiązuje znaczenia do tego, co dzieje się z jej płótnami, albo że je pali, wrzuca do pojemnika na śmieci czy też darowuje znajomym?

- Którym znajomym?

- Zmuszony jestem odpowiedzieć tak, jak to już uczyniłem w moim gabinecie. Nie byłoby rzeczą stosowną, gdybym okazując brak dyskrecji, narażał osoby trzecie na przykrości, jakich obecnie doświadczamy z powodu strzałów, które na naszej ulicy oddali jacyś nieznajomi...

- Wracając do tych drzwi...

- Nie wiem, z ilu pokoi składa się pańskie mieszkanie, panie Maigret. Ten dom liczy ich trzydzieści dwa. Chodzi po nich czworo naszej służby. Zdarzyło się, że jedną z pokojówek odprawiliśmy, bo była nieuczciwa. To, że w tych warunkach ginie jakiś klucz, nie dziwi nikogo z naszego środowiska...

- I pan nie kazał dorobić nowego?

- Nie myślałem o tym.

- Jest pan pewny, że w domu nie ma tego klucza?

- O ile mi wiadomo... Jeżeli tu jest, odnajdzie się pewnego dnia w najmniej oczekiwanym miejscu...

- Czy pozwoli mi pan zatelefonować?

Na stole stał telefon. Maigret wcześniej zauważył, że w większości pomieszczeń tego domu były telefony, zapewne połączone z sobą.

- Co pan zamierza?

- Wezwać ślusarza...

- Sądzę, że nie powinienem się na to zgodzić, bo wydaje mi się, że przekracza pan swoje kompetencje...

- Zatelefonuję więc do Prokuratury, aby przysłali mi zgodny z prawem nakaz przeprowadzenia rewizji...

Mąż i żona znowu na siebie popatrzyli. Tym razem Mirella podeszła do szafy niosąc taboret, który wzięła sprzed sztalug. Weszła na taboret, uniosła ramię, sięgnęła ręką na szafę, a kiedy ją cofnęła, w ręce miała klucz.

- Widzi pan, panie Jonker, pewien szczegół mnie uderzył, a raczej dwa wiążące się ze sobą szczegóły. Drzwi tej pracowni zaopatrzone są w zasuwę, ale wbrew ogólnemu zwyczajowi, zasuwa znajduje się od zewnątrz... Przed chwilą, gdy pan mówił, zauważyłem, że tak samo umieszczona jest na tych drzwiach...

- Może się pan dziwić do woli; zresztą nie przestaje pan tego czynić, od chwili gdy wszedł pan do tego domu. Pański styl życia i nasz zbyt się od siebie różnią, aby mógł pan nas zrozumieć.

- Jak pan widzi, próbuję...

Wziął klucz, który podała mu pani Jonker, i podeszedł do zamkniętych drzwi. Podczas gdy jego rozmówcy stali nieruchomo, jak dwie statuetki, w ogromnej pracowni, Maigret uporał się z zamkiem.

- Od jak dawna, według pani, tych drzwi nie otwierano?

- To nie ma znaczenia.

- Nie proszę, aby pani tu podeszła, i pani wie, dlaczego, natomiast chciałbym, aby zbliżył się tutaj pani mąż...

Holender podeszedł, starając się zachować godną postawę.

- Proszę przede wszystkim zauważyć, że ta podłoga jest czysta, bez śladu kurzu i, jeżeli pan jej dotknie, przekona się pan, że miejscami drewno zachowuje pewną wilgotność, jak gdyby niedawno obficie zmyto je wodą... Kto sprzątał w tym pokoju dziś rano albo zeszłej nocy?

Usłyszał za sobą głos Mirelli, która odpowiedziała:

- Na pewno nie ja... może zapytać pokojówki... Chyba że Carl otrzymał polecenie od mojego męża...

Pokój był niewielki. Przez okno, podobnie jak przez oszklone drzwi, widać było panoramę Paryża. Stare firanki w kwiaty poplamione były farbami, miejscami wyglądało to tak, jakby ktoś malując palcami, wycierał w nie potem ręce.

W kącie stało żelazne łóżko z materacem, ale bez pościeli, bez kapy.

Najbardziej uderzające było to, co trudno by określić inaczej jak graffiti. Na brudnobiałych ścianach ktoś z upodobaniem rysował obsceniczne formy, jak się to widuje w publicznych ustępach. Różnica polegała na tym, że nie były kreślone ołówkiem, lecz farbą zieloną, niebieską, fioletową.

- Nie pozwolę sobie spytać pana, panie Jonker, czy te dzieła przypisuje pan swojej dawnej przyjaciółce... Jedna z sylwetek obala tę hipotezę...

Był to zrobiony paru grubymi kreskami portret Mirelli, mający w sobie więcej życia niż niejedno z płócien w salonie.

- Czekam na wyjaśnienie?

- Wydaje mi się to normalne. Nasze style życia, jak pan powiedział, mogą być bardzo odmienne. Możliwe, że trudno mi zrozumieć pańskie postępowanie. Niemniej jestem przekonany, że pańscy przyjaciele, ludzie z pańskiego środowiska, byliby bardzo zdziwieni ujrzawszy te... hm... powiedzmy: te freski, pod pańskim dachem...

Odtworzono tu nie tylko, z obfitością szczegółów, te części ludzkiego ciała, które zwykle pozostają w ukryciu, ale również sceny prawdziwie wyuzdanego erotyzmu. Kontrastowały z nimi, koło łóżka, pionowe linie, które przypominały komisarzowi kreski, jakie stawiają więźniowie, aby zaznaczyć mijanie czasu.

- Czy osoba, która tu mieszkała, z tak wielką niecierpliwością liczyła mijające dni?

- Nie rozumiem.

- Nie wiedział pan o istnieniu tych graffiti?

- Dawno nie zaglądałem do tego pokoju.

- Jak dawno?

- Wiele miesięcy, jak to już panu mówiłem. Byłem zaszokowany tym, co tu ujrzałem, i zamykając drzwi na dwa spusty, klucz rzuciłem na szafę.

- W obecności pańskiej żony?

- Już nie pamiętam.

- Czy pani wie, co jest na ścianach tego pokoju?

Skinęła potakująco głową.

- Co pani odczuła odnajdując tu swój portret?

- Nie nazwałabym tego portretem, lecz luźnym szkicem, jaki nasmarować może każdy artysta...

- Oczekuję, że państwo uzgodnicie to między sobą i powiecie mi, co to jest...

Zapanowało milczenie, a Maigret, mimo że nie zachęcony do tego, wyjął fajkę

z kieszeni.

- Zastanawiam się - mruknął Holender - czy nie postąpiłbym lepiej wzywając mojego adwokata. Nie znam na tyle francuskiego ustawodawstwa, aby wiedzieć, czy miał pan prawo stawiać nam tego rodzaju pytania.

- Jeżeli zamiast udzielić mi teraz wiarygodnej odpowiedzi, wezwie pan swojego adwokata, proszę się z nim umówić od razu na Quai des Orfèvres, bo w takim przypadku ja zabiorę tam pana nie czekając...

- Bez nakazu?

- Z nakazem lub bez. W razie potrzeby nakaz znajdzie się tutaj w ciągu pół godziny.

Komisarz podchodził już do telefonu.

- Proszę zaczekać!...

- Kto zajmował ten pokój?

- To stara historia... Nie zechciałby pan, abyśmy zeszli na dół i kontynuowali tę rozmowę przy kieliszku? Chętnie zapaliłbym cygaro, a nie mam przy sobie...

- Pod warunkiem, że będzie nam towarzyszyć pani Jonker...

Poszła przodem, jakby zmęczona, zrezygnowana, Maigret za nią, Jonker tuż za nimi.

- Tutaj?

- zapytała Mirella, gdy weszli do salonu.

- Wolę mój gabinet...

- Co mogłabym panu zaproponować, panie Maigret?

- Na razie nic.

Spostrzegła szklanekę, z której pił poprzednio i która pozostała na biurku obok kieliszka jej męża. Czy odmowa nie oznaczała, że sytuacja uległa zmianie?

W pokoju zrobiło się ciemniej i Holender zaświecił lampy, nalał sobie curaçao, zwrócił na żonę pytające spojrzenie.

- Nie, wolę whisky...

Usiadł pierwszy, przybierając niemal identyczną pozę jak przed godziną. Jego żona stała ze szklanką w ręce.

- Dwa czy trzy lata temu... - zaczął amator obrazów, obcinając koniec cygara.

Komisarz przerwał mu.

- Czy pan zauważył, że nigdy nie jest pan dokładny? Odkąd tu jestem, nie podałeś pan żadnej daty, nazwiska, najwyżej nazwiska malarzy od dawna nie żyjących...

Mówi pan: parę tygodni, parę miesięcy, parę lat, wczesnym lub późnym wieczorem...

- Może dlatego, że nie troszczę się o czas? Niech pan pamięta, że nie muszę być w moim gabinecie o jakiejś określonej godzinie i że do dzisiaj nie musiałem się nikomu opowiadać...

Znowu stawał się agresywny, ale jego przesadna arogancja była mniej przekonująca. Maigret ze zdziwieniem dojrzał na twarzy jego żony niepokój, dezaprobatę.

“Ty, moja mała - pomyślał - wiesz z własnego doświadczenia, że taka gra z policją do niczego nie prowadzi”.

Czy ona sama, w młodości, miała do czynienia z policją w Nicei, w Anglii albo jeszcze gdzie indziej?

- Może mi pan wierzyć albo nie wierzyć, panie Maigret... Powtarzam, że dwa albo trzy lata temu dowiedziałem się o młodym utalentowanym malarzu, żyjącym w takiej nędzy, że zdarzało mu się nocować pod mostami i szukać pożywienia w pojemnikach na śmieci...

- Mówi pan: “dowiedziałem się”. Kto powiedział panu o tym młodym człowieku? Handlarz obrazów?

Holender zrobił gest, jakby odganiał muchę.

- To nie ma żadnego znaczenia! Nie pamiętam. W każdym razie wstydziłem się tego atelier, które nie służyło nikomu...

- A zatem pańska żona jeszcze wtedy nie malowała?

- Nie... Nie przyprowadzałbym jej tutaj...

- Jak nazywa się ten młody amator graffiti?

- Znam tylko jego imię...

- Jak ma na imię?

Po krótkiej przerwie:

- Pedro.

Najwidoczniej zmyślał.

- Hiszpan? Włoch?

- Niech pan sobie wyobrazi, że się tym nie zainteresowałem. Oddałem mu do dyspozycji pracownię i pokój. Dałem mu pieniądze na farby i płótno.

- A wieczorem zamykał go pan, aby nie uganiał się za kobietami.

- Nie zamykałem go.

- Więc po co te zamki z zewnątrz?

- Założono je podczas budowy domu.
- W jakim celu?
- Cel był bardzo prosty. Nie domyśla się go pan, bo nie jest pan kolekcjonerem. Przez długi czas magazynowałem w tej pracowni płótna, dla których nie było miejsca na ścianach... Logiczne było zamykać je od zewnątrz.
- Myślałem, że pracownię urządzono dla malarki, dawnej pana przyjaciółki...
- Powiedzmy, że zamki założono wtedy, gdy się stąd wyprowadziła...
- Również w drzwiach od pokoju?
- Nie jestem nawet pewny, czy kazałem ślusarzowi wprawić zamek w tych drzwiach...
- A wracając do Pedra?
- Przez parę miesięcy mieszkał w tym domu.
- Parę - podkreślił Maigret, a Mirella nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Holender niecierpliwił się i musiał bardzo panować nad sobą, aby nie wybuchnąć gniewem.
- Czy miał talent?
- Wielki.
- Czy zrobił karierę? Czy został znanym malarzem?
- Nie wiem... Co pewien czas zachodziłem do pracowni i podziwiałem jego płótna...
- Czy pan je kupował?
- Jak mogłem kupować obrazy od człowieka, któremu dawałem dach nad głową i którego żywiłem?
- A zatem nie ma pan ani jednego jego dzieła? A jemu nie przyszło na myśl, aby przed rozstaniem coś panu ofiarować?
- Czy widział pan w tym domu chociaż jeden obraz liczący sobie mniej niż trzydzieści lat? Amator malarstwa często jest kolekcjonerem... A każdy kolekcjoner ogranicza swoje zainteresowania do jakiegoś określonego obszaru... Co do mnie, zaczynam od Van Gogha, a kończę na Modiglianem.
- Pedro jadał tam na górze?
- Chyba tak.
- Carl mu usługiwał?
- Te drobne sprawy należą do mojej żony.
- Tak, Carl

- powiedziała bez przekonania Mirella.

- Czy często wychodził?

- Jak wszyscy w jego wieku.

- A właściwie ile miał lat?

- Dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy. W końcu zdobył przyjaciół i przyjaciółki. Z początku sprowadzał ich do pracowni pojedynczo lub po dwoje na raz. Później zaczął sobie pozwalać. Czasem po nocy bywało ich dwadzieścioro i strasznie hałasowali akurat nad pokojami mojej żony, tak że nie mogła spać...

- A pani nigdy nie zaciekawilo to na tyle, aby pójść na górę i zobaczyć, co się tam dzieje?

- To wziął na siebie mój mąż.

- I z jakim rezultatem?

- Wyrzucił Pedra za drzwi, ale dał mu trochę pieniędzy.

- Wtedy zobaczył pan graffiti?

Jonker skinął potakująco głową.

- I pani także? W takim razie ten portret musiał pani zdradzić, że Pedro był w pani zakochany. Czy starał się o pani względy?

- Jeżeli będzie pan nadal mówił w tym tonie, panie Maigret, z przykrością poinformuję naszego ambasadora o pańskim postępowaniu - surowo powiedział Jonker.

- Powie mu pan również o osobach, które wślizgują się wieczorami do tego domu i spędzają tu część nocy albo zostają do rana?

- Zdawało mi się, że znam Francuzów...

- Zdawało mi się, że znam Holendrów...

Tu wmieszała się Mirella:

- Może przerwalibyście tę dyskusję. Rozumiem, że mój mąż irytuje się, gdy go wypytują o pewne sprawy, zwłaszcza gdy chodzi o mnie. Z drugiej strony, rozumiem, że komisarzowi trudno zaaprobować nasz styl życia... Jeżeli chodzi o te kobiety, panie Maigret, zawsze o tym wiedziałam, nawet zanim się pobraliśmy... Zdziwiłby się pan, dowiadując się, ilu żonatych mężczyzn postępuje podobnie... większość kryje się z tym, zwłaszcza w kręgach prawomyślnych... On woli szczerość, a ja widzę w niej hołd złożony mojej inteligencji i mojemu przywiązaniu...

Maigret zauważył, że nie powiedziała: miłości.

- Poza tym ja uważam, że niepewność niektórych odpowiedzi i pozorne

sprzeczności dowodzą, że nie ma się nic do ukrywania.

- A zatem ja postawię pani jednoznaczne pytanie. Do której była pani w pracowni zeszłej nocy?

- Muszę się zastanowić, bo przy pracy nie patrzę na zegarek i, jak pan mógł zauważyć, na górze nie ma zegara... około jedenastej odprawiłam moją pokojówkę, aby mogła się położyć.

- Pani mieszka na drugim piętrze?

- Tak. Pokojówka przyszła zapytać, czy ma na mnie czekać, by mi pomóc przy wieczornej toalecie...

- Pracowała pani nad obrazem, który jeszcze teraz znajduje się na sztaludze?

- Spędziłam dużo czasu, z węglem w jednej ręce a ścierką w drugiej, szukając tematu...

- Co jest tematem tego obrazu?

- Nazwijmy to: "Harmonia"... Dzieł abstrakcyjnych nie tworzy się na chybił-trafił... Być może wymagają więcej namysłu i poszukiwań niż malarstwo figuratywne...

- Ale była mowa o tym, o której godzinie...

- Kiedy zesłam do swoich pokoi, mogła być pierwsza w nocy.

- Czy wychodząc z atelier zgasiła pani światło?

- Myślę, że tak. To się robi machinalnie.

- Miała pani na sobie ten sam biały strój i ten sam turban, co dzisiaj?

- Prawdę mówiąc, jest to stary płaszcz kąpielowy i ręcznik frotowy. Wydawało mi się śmieszne, skoro malarstwo jest dla mnie tylko rozrywką, kupowanie kitla, jaki noszą profesjonalistki.

- Mąż pani leżał już w łóżku? Nie poszła pani życzyć mu dobrej nocy?

- Nie ma takiego zwyczaju, kiedy ja kładę się później.

- Z obawy, aby nie zastać go w towarzystwie jednej z tych osób?

- Może pan to sobie dowolnie tłumaczyć.

- Wydaje mi się, że dobrnęliśmy prawie do końca...

Odczuł, że w pokoju nastąpiło pewne odprężenie, ale z jego strony był to tylko stary fortel. Znow powoli zapalił fajkę, jak gdyby zastanawiał się, czy o czymś nie zapomniał.

- Przed chwilą, panie Jonker, podkreślił pan, nie bez taktu, że nie mam pojęcia o mentalności i czynach miłośnika sztuki. Jak świadczy pańska biblioteka, jest pan

poinformowany o wszystkich ważnych wystawach i licytacjach. Kupuje pan dużo, bo w pewnym momencie musiał pan przenieść do pracowni obrazy, które nie mieściły się już gdzie indziej... Czy mam z tego wnioskować, że odprzedaje pan dzieła, które przestały się panu podobać?

- Spróbuję to panu raz na zawsze wytłumaczyć. Po moim ojcu odziedziczyłem pewną ilość obrazów; był on nie tylko wielkim finansistą, ale także jako jeden z pierwszych odkrywał artystów, o których dzieła dzisiaj ubiegają się muzea. Moje dochody, jakkolwiek znaczne, nie pozwalałyby mi bez końca kupować sobie obrazy, które mnie kuszą. Jak każdy kolekcjoner, zacząłem od obrazów mniej wartościowych, powiedzmy: od pomniejszych dzieł wielkich artystów... Powoli, w miarę jak nabierały one wartości, a mój smak subtelniał, odprzedawałem część tych płócien, aby kupować dzieła wybitniejsze...

- Przepraszam, że panu przerwę. Praktykował pan to aż do chwili obecnej?

- Mam zamiar robić to aż do śmierci.

- Dzieła, które chce pan sprzedać, wysyła pan do Hôtel Drouot czy też powierza je pan marszandom?

- Zdarzało mi się, ale rzadko, posyłać jeden obraz czy dwa na publiczną licytację. Obrazy tam sprzedawane pochodzą z darowizn i sukcesji. Miłośnik sztuki chętniej obiera inną drogę...

- To znaczy?

- Zna rynek. Na przykład wiadomo mu, że dane muzeum w Ameryce Południowej albo w Stanach Zjednoczonych szuka jakiegoś Renoira lub Picassa z okresu niebieskiego. Jeżeli chce się pozbyć któregoś z tych płócien, nawiązuje kontakty...

- To tłumaczyłoby, dlaczego sąsiedzi widzieli, jak z pana domu wynoszono obrazy?...

- Te obrazy i obrazy mojej żony...

- Czy mógłby pan wymienić mi nazwiska kilku pańskich klientów? Na przykład pomówmy o ostatnim roku...

- Nie.

Było to chłodne i kategoryczne.

- Czy mam z tego wnioskować, że chodzi o handel pokątny?

- Nie lubię tego słowa. Tego rodzaju operacje przeprowadza się dyskretnie.

Większość krajów na przykład reglamentuje wywóz dzieł sztuki, aby chronić

dziedzictwo narodowe. Nie tylko muzea korzystają z prawa pierwokupu, ale często urzędy odmawiają zezwolenia na eksport... Tu w salonie może pan obejrzyć jedno z najwcześniejszych dzieł Chirico, którego nielegalnie przewieziono przez granicę włoską, oraz Maneta, który, chociaż wyda się to panu niewiarygodne, przybył z Rosji. Czy rozumie pan teraz, że nie mogę panu podać żadnych nazwisk? Kupują u mnie obraz. Przekazują go nabywcy. On mi płaci, a ja nie interesuję się już jego dalszym losem...

- I nie wie pan...

- Nie chcę wiedzieć. To nie moja sprawa. Podobnie jak prześledzenie drogi, jaką przebył obraz, który kupuję...

Maigret wstał. Wydawało mu się, że jest w tym domu od wieków i jego wyciszona atmosfera zaczynała mu ciążyć. Poza tym miał pragnienie, ale w sytuacji, w jakiej się znaleźli obaj z Jonkerem, nie miał już prawa napić się z nim.

- Przepraszam, że przerwałem pani pracę i zepsułem pani popołudnie.

Czy spojrzenie Mirelli nie wyrażało pytania? "To jeszcze nie koniec, prawda?" - zdawała się mówić. - Znam metody policji. Nie wypuścisz nas z rąk i zastanawiam się, jakie to sieci na nas zastawisz..."

Zwrócona ku mężowi, zawahała się, otworzyła usta i popatrzyła na Maigreta, aby banalnie powiedzieć:

- Bardzo przyjemnie było mi pana poznać...

Jonker, stojąc, zgniótł koniec cygara w popielniczce i z kolei się odezwał:

- Przepraszam, że nie zawsze zachowywałem zimną krew. Nie wolno nigdy zapominać o obowiązkach gospodarza domu...

Nie zadzwonił na lokaja, aby komisarza wyprowadził, lecz osobiście potrudził się do drzwi i je otworzył. Na dworze powietrze miało smak wilgoci i kurzu. Wokoło latarni powstawała świetlista otoczka mgły.

Naprzeciwko okna Marinetty Augier były ciemne. Nie świeciło się również na pierwszym piętrze domu sąsiedniego, ale siedział tam stary człowiek z twarzą przyklejoną do szyby.

Maigret o mało nie przesłał przyjacielskiego znaku staremu Maclet, wiernie trwającemu na posterunku. Zawahał się nawet, czy nie zapukać do jego drzwi, ale czekały go pilniejsze czynności.

Nie przeszkodziło mu to jednak, zanim na rogu ulicy Caulaincourt wsiadł do taksówki, zejść do bistra i wypić jedno po drugim dwa duże piwa.

Rozdział 6

Bosy pijak

W dzielnicowych barach klienci szybko nabierają przyzwyczajęń. Ponieważ Maigret wypił rano grog, właściciel, z zakasnymi rękawami, bardzo się zdziwił, gdy jego klient zamówił piwo. A gdy Maigret poprosił o żeton do telefonu, tamten zapytał:

- Tylko jeden?

Ten, kto przed Maigretem był w kabinie, musiał obficie uraczyć się calvadosem, którego zapachem przesycone było powietrze, nawet słuchawka woniała jabłecznym alkoholem.

- Halo! Kto przy telefonie?

- Inspektor Neuveu.

- Lucasa nie ma w biurze?

- Już go daję... Za chwilę... Rozmawia z drugiego aparatu...

Komisarz, nie niecierpliwiąc się, przyglądał się nieuważnie uspokajającej dekoracji lokalu: obity cynkową blachą kontuar, butelki o dobrze znanych kształtach, z dobrze znanymi etykietami. Prasa rozpisuje się z wyrozumiałością albo z niepokojem o świecie, który zmienia się z oszałamiającą szybkością, a on, po tylu latach i po wojnie światowej, miał przed oczyma gatunki aperitifów, jakie w dzieciństwie widywał w gospodzie w rodzinnej wsi.

- Proszę mi wybaczyć, szefie...

- Chciałbym, aby jak najprędzej roztoczono nadzór nad domem niejakiego Norrisa Jonkera przy avenue Junot. To jest naprzeciw domu, z którego wychodził Lognon, gdy go zaatakowano... Poślij przynajmniej dwóch ludzi i samochód...

- Nie jestem pewny, czy został jakiś samochód na dziedzińcu. Obawiam się, że nie...

- Musisz sobie jakoś poradzić... Nie tylko trzeba śledzić Jonkerów, gdyby wyszli z domu, ale ewentualnych przybyszów. No, szybko!...

W taksówce, patrząc na migające światła, zdał sobie sprawę, że jest w dziwnym nastroju. Powinien być zadowolony z siebie, bo nie dał się zwieść Holendrowi, jego arogancji, bogactwu ani rozkwitłej urodzie Mirelli.

Rzadko udawało mu się w ciągu jednego dnia zgromadzić tyle szczegółów w sprawie, o której wstając rano nie miał najmniejszego pojęcia. Nie tylko dom

miłośnika sztuki nabrał życia i wydał sporo swoich drobnych tajemnic, ale też avenue Junot, którą, jak mu się zdawało, znał na wylot, ukazała mu swoje nowe oblicze.

Dlaczego więc był z siebie niezadowolony, dlaczego odczuwał niejasny niepokój? Stawiał sobie to pytanie, usiłował na nie odpowiedzieć, ale dopiero przechodząc przez Pont-au-Change i patrząc na dobrze znaną sylwetę starego Pałacu Sprawiedliwości, znalazł, jak mu się wydało, przyczynę swojego marnego samopoczucia.

Mimo że spędził dużo czasu w gabinecie Norrisa Jonkera, że zwiedzał dom od dołu do góry, że najbardziej dramatyczna scena rozegrała się w pracowni na drugim piętrze, nie te miejsca wywarły na nim największe wrażenie.

Obrazem, który został mu w pamięci, natrętny niby refren piosenki, był widok małej izdebki z żelaznym łóżkiem, i nagle Maigret zrozumiał przyczynę swojego niepokoju.

Jak na ekranie, znowu zobaczył obsceniczne obrazy malowane na białych ścianach, szerokimi ruchami pędzla, czerwone, czarne, niebieskie. Kiedy próbował teraz przypomnieć sobie Mirellę Jonker, to właśnie jej portret, wykonany paroma niedbałymi machnięciami pędzla, miał w sobie najwięcej życia.

Czy ten - albo ta - kto tworzył tę podobiznę z namiętym uniesieniem, otaczając ją kręgiem wymyślnych, gorączkowych seksualnych symbolów, nie był wariatem lub wariatką? Czy rysunki obłąkanych, jakie kiedyś mu pokazywano, nie odznaczały się taką samą siłą i taką niezwykłą mocą ewokacyjną?

Nie miał wątpliwości, ktoś w tym pokoju do ostatniej chwili mieszkał. Bo dlaczego przed paru godzinami gruntownie go wyszorowano? I dlaczego nie odważono się zamalować ścian?

Wolnym krokiem szedł wielkimi schodami Pałacu Sprawiedliwości. Jak to mu się często zdarzało, nie skierował się od razu do siebie, lecz przeszedł przez pokój inspektorów. Pod świetlistymi kloszami lamp pracowali przy swoich biurkach niby uczniowie wieczorowej szkoły.

Nie patrzył szczególnie na nikogo, ale poczuł się pewniej odzyskując kontakt z biurem i z atmosferą swojej pracy.

Podobnie jak uczniowie w gimnazjum na widok przechodzącego profesora, nie podnieśli głów, a jednak każdy wiedział, że komisarz jest poważny, zaniepokojony, że jego twarz zdradza nie tylko zmęczenie, ale i coś w rodzaju wyczerpania.

- Moja żona nie telefonowała?

- Nie, szefie.

- Zadzwońcie do niej, do domu. Jeżeli jej tam nie ma, spróbujcie pod numerem Lognona:

... Może to nie prawdziwy wariat, osobnik, którego należałoby zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, ale człowiek gwałtowny, niezdolny do opanowania swoich instynktów...

- Halo! To ty?

Była w domu i zapewne zajmowała się przygotowaniem kolacji.

- Dawno wróciłaś?

- Ponad godzinę jestem w domu. Myślę, że w gruncie rzeczy nie zależy jej tak bardzo na mojej obecności... Pochlebia jej, że się dla niej fatyguję, ale nie czuje się ze mną swobodnie... Znacznie bardziej odpowiada jej towarzystwo starej panny z różańcem. We dwie mogą sobie narzekać, ile dusza zapagnie i bez końca opowiadać o swoich drobnych nieszczęściach... Poszłam kupić w pobliżu trochę ciastek... wsunęłam banknot w rękę starej, która wcale się nie wzbraniała, i obiecałam, że zajdę jutro rano... A ty? Myślisz, że uda ci się wrócić na kolację?

- Nie wiem jeszcze. Ale to raczej wątpliwe.

- Jak się ma Lognon?

- Według tego, co ostatnio słyszałem, Lognon żyje, ale dopiero co wróciłem do biura...

- No, to mam nadzieję, że do wieczora...

- Do wieczora...

Nigdy nie mówił jej po imieniu, ona także nie zwracała się tak do niego. Nie mówiła: mój drogi, ani on: moja droga. Bo i po co, skoro w pewien sposób czuli się jedną osobą.

Odłożył słuchawkę. Otworzył drzwi.

- Jest Janvier?

- Idę, szefie.

Maigret siedział przy biurku, na którym porządkował swoje fajki.

- Po pierwsze, co z Lognonem...

- Dziesięć minut temu telefonowałem do Bichat. Przełożona pielęgniarek zaczyna się niecierpliwie... Stan trwały... Lekarze spodziewają się jakiejś zmiany nie wcześniej jak jutro... Nie odzyskuje przytomności i kiedy otwiera oczy, nie wie, gdzie

jest, kto jest przy nim, ani co mu się przydarzyło...

- Widziałeś się z byłym narzeczonym Marinetty Augier?

- Zastałem go w jego biurze; wydawał się przerażony myślą, że jego ojciec mógłby się zorientować, że jestem z policji... Zdaje się, ojciec jest człowiekiem surowym i jego personel drży przed nim... Jan Klaudiusz jest po prostu bezwolnym, niezdecydowanym fircykiem, który sam nie wie, czego chce... Wyciągnął mnie z pokoju i przed panienką z recepcji odegrał komedię, że niby jestem klientem...

- Co oni produkują?

- Metalowe rury, nie wiem, z czego, z miedzi, żelaza czy stali. Jest to duży, ponury budynek, jakich wiele widuje się w okolicy placu de la République i bulwaru Voltaire... Zaprowadził mnie do kawiarni, daleko od biura... Popołudniowa prasa pisze o strzelaninie i ranach Lognona, ale nie wymienia Marinetty... Zresztą Jan Klaudiusz gazet nie czytał...

- Czy okazał chęć współdziałania?

- On tak boi się ojca i w ogóle wszystkiego, co mogłoby skomplikować mu życie, że byłby mi wyznał wszystkie grzechy młodości... Powiedziałem mu, że Marinetta nagle opuściła mieszkanie i że nam pilnie potrzebne są jej zeznania... "Byliście zaręczeni przez prawie rok... - Wie pan, zaręczeni... To zbyt mocne słowo... - Albo za słabe, bo spędzał pan u niej jedną albo dwie noce w tygodniu". Był bardzo niezadowolony, że o tym wiemy. "W każdym razie, jeżeli ona spodziewa się dziecka, nie może ono być moje, bo nie widzieliśmy się przez dziewięć miesięcy"... Widzi pan, szefie, co to za typ! Zagadnąłem go o ich weekendy. "Na pewno były takie miejscowości, gdzie jeździliście nad morze czy raczej w okolice Paryża? - W okolice Paryża... Nie zawsze w to samo miejsce... Wybieraliśmy jakąś oberżę, najchętniej nad wodą, Marinetta ma bzika na punkcie pływania i wiosłowania... Nie ceniła sobie hoteli, miejsc eleganckich, wyrafinowanych... W gruncie rzeczy gust ma bardzo pospolity"... W końcu wyciągnąłem od niego z pół tuzina adresów tych miejsc, gdzie bywali wielokrotnie: "Oberża pod Gwoździem", Courcelles, dolina Chevreuse, "U Melanii", w Saint-Fargeau, pomiędzy Corbeil a Melun, "U Feliksa i Felicji" w Pomponne, nad brzegiem Marny, niedaleko od Lagny... Szczególnie lubiła tamtejszy bar, bo jest to bar wiejski, dwa pokoje bez bieżącej wody. Poza tym Crégny w pobliżu Meaux, gospoda, dalej "Tańcząca Sroka", w szczerym polu, pomiędzy Meulan i Apremont... Jeden raz jedli obiad pod "Zuchwałym Kogutem" w Bougival...

- Sprawdziłeś?

Wydawało mi się, że lepiej będzie, jak zostanę tutaj, aby gromadzić informacje... Mogłem telefonować na policję do tych różnych zapadłych dziur, ale bałem się, że przez swoją niezręczność spłoszą nam pannę Marinettę... Nie jest to całkiem w porządku, zważywszy, że te miejscowości leżą poza departamentem Sekwany, ale myślałem, że panu się śpieszy...

- Więc co zrobiłeś?

- W każdym kierunku wysłałem człowieka: Lourtie, Jamin i Lagrume...

- Każdy wziął samochód?

- Tak - wyznał z niepokojem Janvier.

- I dlatego przed chwilą Lucas oznajmił mi, że zapewne nie mamy żadnego wozu do dyspozycji?

- Przepraszam...

- Dobrze zrobiłeś... Nie ma jeszcze żadnych wiadomości?

- Tylko z "Oberży pod Gwoździem"... Od tej strony nic... Inni wkrótce złożą meldunki...

Maigret w milczeniu palił fajkę, jakby zapomniał o obecności inspektora.

- Pan już mnie nie potrzebuje?

- W tej chwili nie. Uprzedź mnie, jak będziesz wychodził. Powiedz Lucasowi, żeby również został...

Chciał działać szybko. Po długiej przedpołudniowej wizycie u Holendra poczuł, że komuś zagraża niebezpieczeństwo, ale absolutnie nie umiał określić, nad kim ono zawisło.

Nie ma wątpliwości, postarano się pokazać mu pewną dekorację. O ile obrazy zawieszane na ścianach były autentyczne, to chyba wszystko inne, co widział i słyszał, było fałszem?

- Połączcie mnie z urzędem rejestracyjnym dla cudzoziemców...

W dziesięć minut podano mu panieńskie nazwisko pani Jonker. Na imię miała nie Mireille, jak wnioskował z imienia Mirella i jej południowej proveniencji, lecz banalnie Marcelle, zaś nazwisko: Maillant.

- Połączcie mnie z Policją Kryminalną w Nicei. Najlepiej z komisarzem Bastianim...

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, szukał we wszystkich kierunkach na chybił-trafił.

- Halo! Bastiani? Jak się miewasz, stary? Jaka u was pogoda?... Tutaj leje od

trzech dni i dopiero dziś od południa jest tylko mglisto... Otóż chciałbym, aby pańscy ludzie szybko pogrzebali w starych papierzyskach... Jeżeli nic nie znajdą, niech spróbują w waszym Pałacu Sprawiedliwości. Chodzi o niejaką Marcelle Maillant, urodzoną w Nicei, prawdopodobnie w starej dzielnicy, w pobliżu kościoła Świętej Reparaty... Ma trzydzieści cztery lata. Pierwszy raz wyszła za Anglika nazwiskiem Muir, fabrykanta łożysk kulkowych w Manchesterze, potem parę lat mieszkała w Londynie, gdzie została żoną bogatego Holendra, Norrisa Jonkera, obecnie mieszka w Paryżu... To wspaniała kobieta, jedna z tych, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy... Wysoka brunetka, umie nosić toalety... Kobieta bardzo światowa, a jednak ma w sobie coś, co obudziło moją czujność... Rozumie pan, co mam na myśli? Coś mi się w niej nie podoba, nie wiem co, a sposób, w jaki na mnie patrzyła, jeszcze mnie w tym utwierdził... Tak, to sprawa naprawdę pilna... Przysięgłbym, że przygotowuje się coś bardzo niecnego, i chciałbym temu zapobiec. Czy rzeczywiście nie znał pan Lognona, gdy pracował pan na ulicy des Saussaies... Pechowiec, tak... Postrzelono go wczoraj w nocy. Nie umarł, ale lekarze nie ręką za jego życie... Chodzi o tę sprawę, tak... Zastanawiam się, z jakiego powodu i w jakim stopniu ona jest w nią zamieszana, ale może pańskie informacje coś mi wyjaśnią... Będę w biurze... W razie potrzeby przez całą noc...

Nie wątpił, że na wiadomości, iż śledztwo dotyczy ich poszkodowanego kolegi, Bastiani i jego ludzie zechcą się włączyć do akcji. To będzie dla nich punkt honoru.

Przez dobre pięć minut zdawał się dumać, drzemać, po czym wyciągnął rękę po telefon.

- Chciałbym połączyć się ze Scotland Yardem... Poza kolejnością... Inspektor Pyke... Chwileczkę... Nie! Nadinspektor Pyke...

Znali się z Francji, gdzie szanowny pan Pyke przybył, aby się zapoznać z metodami Policji Kryminalnej, a zwłaszcza Maigreta, i był zdziwiony przekonawszy się, że Maigret żadnej metody nie ma...

Dwukrotnie widzieli się jeszcze w Londynie i zaprzyjaźnili się. W parę miesięcy później Maigret dowiedział się, że Pyke awansował.

Wprawdzie ze Scotland Yardem połączono go w trzy minuty, ale trzeba było aż dziesięciu, aby jego rozmówca znalazł się przy aparacie, i jeszcze kilku, żeby wymienić gratulacje i grzeczności w lichej angielszczyźnie z jednej strony, a marnej francuszczyźnie z drugiej.

- ... Maillant, tak... M jak Maurycy, A jak Adam...

Musiał przeliterować nazwiska.

- ... Muir, M znowu jak Maurycy, U jak Urszula...

- Ja znam to nazwisko... Chodzi o Sir Herberta Muir?... Z Manchesteru?...

Przed trzema laty królowa nadała mu tytuł szlachecki.

- Drugi mąż: Norris Jonker...

Znowu literował; wspomniał też, że Holender służył w armii angielskiej i miał rangę pułkownika.

- Może pomiędzy tymi dwoma byli jeszcze inni mężczyźni. Zdaje się, że przez pewien czas mieszkała w Londynie, gdzie zapewne nie żyła samotnie.

Maigret nie zapomniał dodać, że chodzi o targnięcie się na życie policjanta, a pan Pyke z powagą oznajmił:

- Tutaj przestępca, mężczyzna czy kobieta, zawisłby na szubienicy... U nas za zbrodnie przeciwko policji zawsze się wiesza...

Podobnie jak Bastiani, obiecał, że zatelefonuje.

Było wpół do siódmej. Gdy Maigret otworzył drzwi do pokoju inspektorów, zobaczył tam ich tylko czterech czy pięciu.

- Nic "U Melanii", nic w Saint-Fargeau. Także nic w "Zuchwałym Kogucie", jak przypuszczałem, i w "Tańczącej Sroce"... Pozostaje Marna, bo dolina Chevreuse i Sekwana nic nam nie dały...

Maigret już miał wrócić do siebie, gdy wszedł inspektor Chinquier, bardzo podniecony.

- Czy jest komisarz?

Zobaczył go w tej samej chwili, gdy zadał to pytanie.

- Mam nowe wieści. Zamiast telefonować wolałem przybiec.

- Niech pan wejdzie...

- W przedpokoju zastałem świadka, bo może zechce pan go przesłuchać...

- Najpierw niech pan siądzie i opowie...

- Czy mogę zdjąć płaszcz? Tak się dziś nauganiałem, że cały jestem mokry...

Tak jak pan chciał, ludzie z osiemnastki zabrali się do dokładnego przeczesywania avenue Junot i jej najbliższych okolic... Przez długie godziny, oprócz starego Maclet, nie było żadnych rezultatów... Potem nagle przekazano mi informację, o znaczeniu, jak mi się wydało, pierwszorzędnym... Ten dom przetrząsnęli już wczesnym popołudniem, wypytali dozorczynię i tych lokatorów, których zastali, a było ich

niewielu, przeważnie kobiety, bo mężczyźni w pracy... Chodzi o czynszowy dom stojący w górnej części avenue Junot... W chwili gdy jeden z moich kolegów zjawił się tam powtórnie, mniej więcej godzinę temu, do służbówki wszedł po swoją pocztę niejaki Langeron, który chodzi od bramy do bramy, oferując odkurzacze... Zabrałem go ze sobą... Jest to jegomość dosyć nijaki, przyzwyczajony raczej do tego, że wyrzucają go za drzwi, niż przyjmują z otwartymi ramionami. Żyje samotnie, w mieszkaniu na trzecim piętrze, a pracuje w różnych godzinach, zawsze w nadziei, że uda mu się dopaść ludzi w sprzyjającym momencie... Najczęściej sam gotuje, a gdy mu się uda ubić interes, funduje sobie kolację w restauracji... Tak właśnie było wczoraj... Między szóstą a siódmą, kiedy ludzie są już przeważnie w domu, sprzedał dwa odkurzacze i po aperitifie w piwiarni na placu Clichy uraczył się obfitym obiadem w małej restauracyjce przy ulicy Caulaincourt... Tuż przed godziną dziesiątą wieczór wracał przez avenue Junot, ze służącym do pokazów odkurzaczem w ręce... Przy domu Holendra stał samochód, żółty jaguar, którego tablica rejestracyjna zdziwiła go, bo widniały na niej znaki TT koloru czerwonego... Znalazł się w odległości zaledwie kilku metrów, kiedy drzwi się otworzyły...

- Czy jest pewny, że to drzwi willi Jonkerów?

- Zna domy na avenue Junot jak własną kieszeń, bo oczywiście próbował tam sprzedawać swoje odkurzacze... Niech pan słucha... Wyszli stamtąd dwaj ludzie wlokąc trzeciego, który był tak pijany, że nie mógł się utrzymać na nogach... Kiedy ci dwaj ludzie, niosący, można powiedzieć, trzeciego do samochodu, spostrzegli Langerona, zrobili ruch, jak gdyby chcieli cofnąć się do domu, ale jeden z nich burknął: "Dalej!... Idź, durniu! Czy to nie wstyd doprowadzić się do takiego stanu!"

- I zabrali go?

- Niech pan poczeka. To jeszcze nie koniec. Przede wszystkim, mój sprzedawca odkurzaczy twierdzi, że ten, który się odezwał, mówił z wyraźnym akcentem angielskim... Po drugie, pijak nie miał na sobie ani butów, ani skarpetek. Zdaje się, że nagimi stopami ciągnęli go po chodniku... Usadowili go na tylnym siedzeniu, jeden z nich podtrzymywał go, a drugi usiadł przy kierownicy... Samochód ruszył jak wicher... Czy mam zawołać mojego świadka?

Maigret zawahał się, przekonany, że ma coraz mniej czasu do stracenia.

- Niech pan usiądzie z nim i spisze jego zeznanie. Proszę się upewnić, że niczego nie zapomniał. Każdy szczegół może okazać się ważny...

- A co mam zrobić potem?

- Pomówimy o tym, gdy pan będzie gotów.

Poprzedniego dnia o tej samej porze borykał się z chłopakiem, którego nazywano Jasiem, i o pierwszej w nocy wymusił na nim zeznanie, które umożliwiło aresztowanie Gastona Nouveau.

Zastanawiał się, czy i tej nocy w jego gabinecie nie będzie się palić światło do Bóg wie której godziny. Rzadko zdarzało się to dwa razy pod rząd. Pomiędzy dwiema sprawami prawie zawsze wypadła przerwa i było coś paradoksalnego w tym, że jeśli się przeciągała, Maigret stawał się ponury, czuł się nieswojo.

- Urząd rejestracji samochodów... Pilne!...

Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział żółtego jaguara; wozy w Anglii dość rzadko bywają w tym kolorze. Litery TT oznaczały, że samochód wjechał do Francji prowadzony przez właściciela cudzoziemca, który zamierza przebywać tu niedługo i dlatego nie uiścił opłaty celnej.

- Kto u was zajmuje się tymi TT?... Rorive? Nie ma go?... Nie ma już nikogo?... Ale jesteś ty, nie?... Słuchaj, mały... Musisz sam dać sobie jakoś radę... Albo pójdz do pokoju Rorive'a i wyszukaj mi informację, o jaką cię proszę, albo zatelefonuj do niego i powiedz mu, żeby zaraz przyszedł... Nawet jeżeli siedzi przy stole. Zrozumiałeś?... Chodzi o jaguara, tak, o jaguara... Wczoraj wieczorem ten jaguar krążył jeszcze po Paryżu. Jest żółty i ma tabliczkę TT... Nie! Nie znam numeru... To byłoby zbyt piękne... Ale przypuszczam, że nie ma w Paryżu kilku tuzinów jaguarów TT. Radź sobie, jak potrafisz, i przekaż mi informację na Quai. Nazwisko właściciela, jego adres, datę przybycia do Francji... I to już! Przepróż Rorive'a w moim imieniu, jeżeli będziesz zmuszony w czymś mu przeszkodzić. Jakoś mu się odwdzięczę. Powiedz mu, że szukamy osobnika, który postrzelił Lognona... Tak, inspektora z osiemnastki...

Uchylił drzwi, aby zawołać Janviera.

- Znad Marny wciąż nic?

- Jeszcze nic. Może Lagrume miał jakąś awarię.

- Która godzina?

- Siódma.

- Chce mi się pić.. Dzwon do "Brasserie", niech tu przysła na górę małe piwa...

Myślę, że przy okazji nieźle byłoby zamówić kanapki.

- Na ile osób?

- Nie wiem! Całą górę kanapek.

Chodził tam i z powrotem z rękami założonymi do tyłu, a w końcu raz jeszcze podniósł słuchawkę telefonu.

- Z moją żoną, proszę...

Chciał ją zawiadomić, że na pewno nie wróci na kolację.

Zaledwie odłożył słuchawkę, rozległ się dzwonek i Maigret rzucił się do telefonu.

- Halo!... Tak... Bastiani?... A więc okazało się to łatwiejsze, niż myślałem?... Szczęśliwy traf?... Dobra!... Mów...

Usiadł przy biurku, przysunął bliżej notatnik, chwycił ołówek.

- Jak się nazywa, powiadasz?... Stanley Hobson... Co?... To długa historia? Skróć ją, ile tylko można, niczego nie pomijając. Ależ nie, mój stary... Jestem dziś trochę zdenerwowany. Jestem pewny, że tu trzeba działać bardzo szybko. Pewien bosy pijak nie daje mi spokoju... Dobra! Słucham!...

Była to sprawa sprzed lat szesnastu. W Nicei, w wielkim hotelu na Promenade des Anglais aresztowano niejakiego Stanleya Hobsona, poszukiwanego przez Scotland Yard złodzieja biżuterii. Wiele kradzieży klejnotów dokonano w willach w Antibes i w Cannes, a jeden taki przypadek zdarzył się w hotelu, w którym mieszkał Hobson.

W chwili aresztowania był w towarzystwie dziewczyny, która nie miała jeszcze osiemnastu lat i od wielu tygodni była jego kochanką.

Zgarnięto ich razem. Oboje składali zeznania przez trzy dni. Przeszukano pokój. Zrewidowano również w Starej Nicei mieszkanie matki dziewczyny, która pracowała na targu kwiatowym.

Nie odnaleziono żadnego z klejnotów. Z braku dowodów zwolniono parę, która w dwa dni później przekroczyła włoską granicę.

Odtąd nie słyszano już w Nicei ani o Hobsonie, ani o Marcelle Maillant, bo o nią właśnie chodziło.

- Czy wiecie, co dzieje się z jej matką?

- Od wielu lat zajmuje wygodne mieszkanie przy ulicy Saint

-Sauveur i żyje jak rentierka. Posłałem do niej jednego z moich ludzi, ale jeszcze nie wrócił. Na pewno otrzymuje przekazy pieniężne od córki.

- Dziękuję, Bastiani. Do usłyszenia wkrótce, mam nadzieję...

Maszyna zaczęła się kręcić, jak lubił mawiać Maigret, i w takich chwilach chciał, aby wszystkie biura były otwarte dzień i noc...

- Chodź na chwilę, Lucas... Zejdiesz do kartoteki... Myślę, że ktoś tam został... Zanotuj nazwisko... Stanley Hobson... Według Bastianiego, dzisiaj w wieku pomiędzy czterdzieści pięć a czterdzieści osiem lat... Nie mam jego rysopisu, ale dane o tym międzynarodowym złodzieju biżuterii Scotland Yard przed piętnastu laty przesłał wszystkim instancjom policyjnym. Zejdź do głównego rejestru przestępców, jeżeli zajdzie taka potrzeba... Nie wykluczone, że coś tam o nim wiedzą...

Gdy Lucas wyszedł, Maigret z wyrzutem spojrzał na telefon, jak gdyby miał mu za złe, że nie dzwoni bez ustanku. Do drzwi zapukał Chinquier.

- Jestem, panie komisarzu. Zeznania gotowe i Langeron je podpisał. Pyta, czy mógłby pójść na kolację. Pan naprawdę nie chce go zobaczyć?

Maigret poprzestał na spojrzeniu przez uchylone drzwi. Typ banalny, nijaki.

- Niech coś zje i potem wróci, na wszelki wypadek. Nie wiem jeszcze, czy i kiedy będzie mi potrzebny, ale już i tak za dużo ludzi wciągnięto w tę sprawę.

- A co ja mam robić?

- Nie jest pan głodny? Nigdy nie jada pan kolacji?

- Chciałbym się jeszcze na coś przydać...

- Najlepiej niech pan wróci do osiemnastki i stale mnie informuje, co tam słychać.

- Ma pan jakąś nadzieję?

- Gdybym jej nie miał, poszedłbym zjeść kolację z żoną i obejrzeć telewizję...

Kelner z "Brasserie Dauphine" nie wyszedł jeszcze z gabinetu Maigreta, gdzie przyniósł tacę z kuflami piwa i kanapkami, gdy zadzwonił telefon.

- Dobra!... Brawo!... Ed?... Po prostu Ed?... Amerykanin? Rozumiem... Nawet ich prezydenci używają zdrobniałych imion... Ed Gollan... Dwa l? Masz adres? Co?

Maigret sposepniał. Chodziło o właściciela złotego jaguara.

- Jesteś pewny, że w Paryżu jest tylko ten jeden? Dobra... Dziękuję, stary... Zobaczę, co z tego wyniknie, ale wolałbym, aby nie chodziło o klienta Ritza.

Raz jeszcze zajrzał do pokoju inspektorów.

- Niech dwóch ludzi przygotuje się do wyjazdu samochodem... Mam nadzieję, że na dole są jakieś wozy?

- Właśnie wróciły dwa.

Po chwili znów zdjął słuchawkę telefonu.

- Czy to Ritz? Niech mnie pan połączy z portierem... Halo! Czy to portier? To pan, panie Piotrze? Tutaj Maigret...

Wiele razy prowadził śledztwo w hotelu na placu Vendôme, jednym z bardziej ekskluzywnych, jeśli już nie najbardziej ekskluzywnym w Paryżu, i za każdym razem czynił to z należytą dyskrecją.

- Komisarz, tak... Proszę mnie pilnie słuchać i nie wymieniać żadnych nazwisk... O tej porze w hallu muszą być ludzie... Czy macie wśród waszych gości niejakiego Gollmana? Eda Gollmana...

- Chwileczkę, pozwoli pan? Przerzucę rozmowę do jednej z kabin...

Chwilę potem, już z kabiny, potwierdził.

- Jest u nas, tak... Często zatrzymuje się tutaj... Jest to Amerykanin, urodzony w San Francisco; wiele podróżuje i trzy albo cztery razy w roku przyjeżdża do Paryża... Zazwyczaj pozostaje tu trzy tygodnie...

- W jakim jest wieku?

- Trzydzieści osiem lat. Nie wygląda na człowieka interesu, raczej na intelektualistę... Według paszportu jest krytykiem sztuki i z tego, co mi mówiono, wynika, że to ekspert na skalę międzynarodową... Przyjmował u siebie wiele razy dyrektora Luwru i odwiedzali go wielcy marszandzi.

- Czy w tej chwili jest w swoim apartamencie?

- Która to godzina? Wpół do ósmej? Bardzo możliwe, że jest w barze...

- Czy mógłby pan dyskretnie się upewnić?

Znowu chwila oczekiwania.

- Jest w barze, tak...

- Sam?

- W towarzystwie ładnej kobiety...

- Czy to klientka hotelu?

- To coś w zupełnie innym rodzaju; bywała z nim tutaj już wcześniej, wypijali po kieliszku; teraz pójda pewnie na kolację do miasta.

- Niech mnie pan zawiadomi, gdy zobaczy pan, że wychodzą.

- Ale nie będę mógł ich zatrzymać...

- Proszę tylko zadzwonić... I dziękuję!...

Zawołał Lucasa.

- Słuchaj uważnie. To sprawa ważna i delikatna. Pojedziesz do Ritza z jednym z inspektorów... W moim imieniu zapytasz portiera, czy Ed Gollan jest jeszcze w barze... Jeżeli, jak przypuszczam, jest, zostawisz kolegę w hallu, a sam dyskretnie podejdziesz do Gollana i jego towarzyski... Nie musisz pokazywać swojej odznaki

ani gromko wołać “policja”. Powiedz, że chodzi o jego wóz, że chcemy go prosić o pewne informacje, i nalegaj, aby poszedł z tobą.

- A kobieta? Mam ją także zabrać?

- Tak. Chyba że będzie to wysoka brunetka, bardzo piękna; na imię ma Mirella.

Lucas zerknął na pokryte jeszcze kropelkami kufle piwa, po czym bez słowa wyszedł.

- Przede wszystkim działaj tak szybko, jak to możliwe.

Piwo co prawda smakowało mu, ale nie miał ochoty na kanapki. Był zbyt zdenerwowany, aby jeść. W tej sprawie nic się nie kleiło, nic do siebie nie pasowało. Gdy tylko odważał się na jakąś hipotezę, natychmiast fakty zadawały jej kłam.

I wyjąwszy tajemniczego Stanleya Hobsona, natrafiało się tylko na osoby pozornie bardzo szacowne.

W końcu zadzwonił do taksatora Manessiego, na jego domowy telefon.

- To znowu ja, tak... Mam nadzieję, że nie odbywa się u pana cocktail-party... Tak?... A więc streszczam się... Czy mówi coś panu nazwisko Gollan?... Jeden z najlepszych ekspertów amerykańskich?

Wielokrotnie westchnął, słuchając, co mówi po drugiej stronie Manessi.

- Tak... Tak... Powiniennem być tego się spodziewać... Jeszcze jedno pytanie. Dziś po południu ktoś mi mówił, że prawdziwi miłośnicy malarstwa często kupują i odprzedają swoje obrazy po cichu... Czy to prawda?... Nie pytam pana, oczywiście, o nazwiska... Nie! Nie jestem na tropie afery tego typu, a jeżeli nawet jestem, to nieświadomie... Jeszcze jedno słowo... Czy możliwe, aby taki człowiek jak Norris Jonker miał w swojej kolekcji falsyfikaty?

Odpowiedział mu wybuch śmiechu.

- Jeżeli ma takie obrazy, posiada je także Luwr... Przecież są ludzie, którzy utrzymują, jakoby Gioconda był fałszywą Giocondą...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Janvier, podniecony, rozpromieniony, niecierpliwie czekał na koniec rozmowy, aby tryumfalnie ogłosić nowinę.

- Dziękuję panu. Proszę wracać do swoich gości... Może się mylę, ale chyba będę jeszcze pana potrzebował...

Janvier zawołał:

- Stało się, szefie! Odnaleziono ją...

- Marinettę?

- Tak... Lagrume ją przywiezie... Nie miał kraksy, ale zdaje się, że w ciemnościach trudno mu było znaleźć oberżę "U Feliksa i Felicji". Znajduje się za Pomponne, na końcu wiejskiej drogi, która wiedzie donikąd.

- Mówiła coś?

- Przysięga, że nie wiedziała, co zaszło... Na odgłos strzałów natychmiast pomyślała o Lognonie... Przeraziła się, że teraz na nią przyjdzie kolej...

- Dlaczego?

- Tego nie wyjaśniła... Bez najmniejszego sprzeciwu poszła z Lagrume'em, tyle że zażądała, aby pokazał jej swoją odznakę...

Najdalej za godzinę będzie na Quai des Orfèvres. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, Ed Gollan również się tam znajdzie, na pewno wściekły, grożąc, że zwróci się do swojej ambasady. Strasznie dużo ludzi odwołuje się do swoich ambasad!

- Halo!... Tak... To ja, drogi panie Pyke...

Nowy nadinspektor Scotland Yardu przekazywał swoje informacje bez pośpiechu. Widocznie czytał tekst, który miał przed oczyma; każdą ważną wiadomość czytał dwa razy.

Bo informacje miał niezwykle ważne. Na przykład Mirella rozwiodła się ze swoim pierwszym mężem Herbertem Muir już po dwóch latach małżeństwa. Rozwód orzeczono z winy żony, a współwinowajcą był nikt inny jak Stanley Hobson.

Parę tę nie tylko przyłapano in flagranti, w mało szacownej dzielnicy Manchesteru, gdzie mieszkał Hobson, ale także ustalono, że przez dwa lata trwania małżeństwa tych dwoje nie przestało się widywać.

- Nie odnalazłem jeszcze śladów Stanleya z lat następnych. Sądzę, że będę mógł to panu przekazać jutro. Dwaj moi ludzie zasięgają języka u mieszkańców Soho, którzy zawsze wiedzą, co dzieje się w pewnych kręgach... Jeszcze szczegół, o którym byłbym zapomniał... Hobson jest bardziej znany jako Łysy Stan... Gdy miał lat dwadzieścia trzy czy dwadzieścia cztery, z powodu nie wiem jakiej choroby utracił wszystkie włosy, brwi i rzęsy...

Maigret, któremu było gorąco, poszedł otworzyć okno, i właśnie wychylał kolejny kufelek piwa, gdy usłyszał, że na korytarzu ktoś mówi po francusku z akcentem amerykańskim. Nie odróżniał słów, ale głos zdradzał, że gość wcale nie jest zadowolony z tej przymusowej wizyty.

Toteż Maigret przywołał na usta swój najbardziej życzliwy, najbardziej dobronuduszy uśmiech i otwierając drzwi powiedział:

- Bardzo proszę, niech pan zechce wejść, panie Gollan, i wybaczy mi, że pana fatygowałem...

Rozdział 7

Wybór Mirelli

Ed Gollan miał włosy kasztanowe, ostrzyżone na jeża, bardzo krótkie.

Pomimo szarej i chłodnej pogody nie włożył palta i jego ubranie z lekkiego materiału, bez poduszek na ramionach, wydłużało jeszcze jego sylwetkę.

Mówił, nie szukając słów, poprawną francuszczyzną, mimo że był zirytowany.

- Ten pan - powiedział wskazując na Lucasa - istotnie przeszkodził mi w okolicznościach szczególnie przykrych nie tylko dla mnie, ale i dla damy, która mi towarzyszyła...

Maigret dał znak Lucasowi, aby wyszedł.

- Jest mi niezmiernie przykro, panie Gollan. Co do osoby, o której pan mówi, proszę mi wierzyć, że tego rodzaju przykrości stanowią część jej fachu.

Gollan nie krył swojego niezadowolenia.

- Przypuszczam, że chodzi o mój samochód?

- Pan jest właścicielem żółtego jaguara, prawda?

- Byłem nim.

- Co ma pan na myśli?

- Że dziś rano udałem się osobiście do komisariatu w pierwszej dzielnicy i zawiadomiłem, że mi go skradziono.

- Gdzie był pan wczoraj wieczorem?

- U konsula Meksyku, który ma prywatne mieszkanie przy bulwarze des Italiens.

- Był pan tam na kolacji?

- W towarzystwie tuzina osób.

- Był pan tam jeszcze około godziny dziesiątej?

- Nie tylko o dziesiątej, ale i o drugiej w nocy, co może pan sprawdzić.

Zdziwił się zauważywszy tacę z kufkami i kanapkami.

- Chciałbym, aby mi pan natychmiast powiedział...

- Zaraz. Ja również się spieszę, bardziej niż pan, proszę mi wierzyć: Ale musimy się trzymać ustalonego porządku. Zostawił pan więc samochód na bulwarze des Italiens?

- Nie. Wie pan lepiej ode mnie, że nie sposób tam zaparkować...

- Gdzie stał samochód, gdy widział go pan po raz ostatni?

- Na placu Vandôme, gdzie pewną ilość miejsc zarezerwowano dla klientów Ritza. Miałem zaledwie kilkaset metrów do domu mego przyjaciela.

- Nie opuszczał pan jego mieszkania?

- Nie.

- Czy odebrał pan jakiś telefon?

Zawahał się zaskoczony, że Maigret wie o tym.

- Od kobiety, tak.

- Od kobiety, której nazwiska zapewne nie może pan wymienić. Czy nie chodziło o panią Jonker?

- Mogła to być ona, bo istotnie znam Jonkerów.

- Wracając do hotelu nie zauważył pan, że na placu nie było już pańskiego wozu?

- Wróciłem przez ulicę Cambon, jak większość gości hotelowych.

- Zna pan Stanleya Hobsona?

- Panie Maigret, nie mam zamiaru składać jakichś zeznań, zanim się dowiem, w co chce mnie pan wplątać.

- Pewni pańscy przyjaciele znaleźli się w trudnej sytuacji...

- Którzy przyjaciele?

- Na przykład Norris Jonker... Pan kupował i sprzedawał dla niego obrazy, jak sądzę...

- Nie jestem marszandem... Zdarza się, że muzea albo prywatni ludzie zwracają się do mnie, szukając obrazu danego malarza, danej wartości, z danej epoki... Jeżeli w trakcie moich podróży dowiem się, że tego rodzaju obraz jest na sprzedaż, ograniczam się do zasygnalizowania tego...

- Bez prowizji?

- To nie pańska sprawa, lecz urzędu celnego w moim kraju...

- Oczywiście nie wie pan, kto mógł ukraść pański wóz? Kluczyk był w stacyjce?

- W skrytce na rękawiczki. Jestem roztargniony i to jest dla mnie jedyny sposób, aby go nie zgubić.

Maigret nadstawiał ucha na hałasy w korytarzu, a to przesłuchanie zdawał się prowadzić bez przekonania, niemal półgębkiem.

Czy nie zdziwiło to przede wszystkim Gollana?

- Przypuszczam, że teraz mogę powrócić do damy, którą zaprosiłem na

kolację?

- Nie zaraz... Obawiam się, że wkrótce będę pana potrzebował...

Maigret usłyszał kroki, jakieś drzwi otworzyły się i zamknęły, w sąsiednim pokoju rozległ się głos kobiety. Był to wieczór "drzwi otwartych albo zamkniętych", jak go potem nazwano.

- Możesz wstąpić do mnie na chwilę, Janvier? Niegrzecznie byłoby zostawiać pana Gollana samego... Z naszej winy nie zjadł kolacji i gdyby miał ochotę na kanapkę...

Kilku inspektorów, którym kazano zostać, a w ich liczbie Lagrume, dumny ze swego sukcesu, ciekawie patrzyło na uroczą dziewczynę w granatowym kostiumie, która także obserwowała, co się dzieje dokoła.

- Pan komisarz Maigret, prawda? Widziałam pana fotografię w gazetach. Proszę mi szybko powiedzieć: czy on umarł?

- Nie, panno Augier. Został ciężko ranny, ale lekarze mają nadzieję go uratować...

- Czy to on powiedział panu o mnie?

- On w tej chwili w ogóle nie jest w stanie cokolwiek powiedzieć i tak będzie przez wiele godzin, a może przez dwa albo trzy dni. Zechce pani pójść za mną?

Wprowadził ją do małego pokoju i zamknął drzwi za sobą.

- Mam nadzieję, że zrozumie mnie pani, jeżeli powiem, że czas nagli. Dlatego nie proszę, aby mi pani szczegółowo opowiedziała, co pani wie. Później przyjdzie na to czas. Teraz tylko parę pytań. Czy to pani zawiadomiła inspektora Lognon, że w domu naprzeciwko dzieją się dziwne rzeczy?.

- Nie. Ja nic nie zauważyłam, chyba tylko to, że wieczorami w pracowni często paliło się światło...

- Gdzie on panią spotkał?

- Na ulicy, gdy wracałam do domu. Powiedział mi, że dowiadywał się o moje mieszkanie, że musi w nim spędzić przy oknie dwa albo trzy wieczory, aby kogoś obserwować. Pokazał mi swoją odznakę policyjną i legitymację. Nie bardzo mnie to uspokoiło i o mało nie zatelefonowałam na policję...

- Dlaczego się pani zdecydowała?

- Wydawał się bardzo nieszczęśliwy. Opowiedział mi, że dotychczas nigdy nie miał szansy, ale gdybym mu pomogła, wszystko by się zmieniło, bo jest na tropie bardzo grubej afery...

- Czy powiedział pani, co to za afera?

- Pierwszego wieczoru nie.

- Czy tego pierwszego wieczoru została pani z nim?

- Przez pewien czas, po ciemku. Zasłony w pracowni naprzeciw nie przylegały do siebie dokładnie i od czasu do czasu widać było przechodzącego mężczyznę, który trzymał w ręce paletę i pędzle...

- Był ubrany na biało? Głowę miał okręconą ręcznikiem?

- Tak. Śmiejąc się powiedziałam, że wygląda jak widmo.

- Widziała pani, jak malował?

- Raz jeden. Tego wieczoru sztalugi miał ustawione w tej części pracowni, którą mogliśmy obserwować, i malował jak szaleniec...

- Co to znaczy: malował jak szaleniec?

- Sama nie wiem. Robił wrażenie opętanego.

- Widziała pani w atelier jeszcze inne osoby?

- Jakaś kobietę... Rozbierała się... A właściwie on niemal zdzierał z niej ubranie.

- Wysoka brunetka?

- Nie była to pani Jonker, którą znam z widzenia.

- Widziała pani również pana Jonkera?

- Ale nie w pracowni. W pracowni widziałam raz łysego człowieka, już niemłodego.

- Co wydarzyło się wczoraj wieczór?

- Jak w inne wieczory, położyłam się wcześniej. Mam zawód męczący i zdarza się, że salon kosmetyczny otwarty jest do późna, zwłaszcza gdy ma się odbyć wielki bal albo jakaś gala.

- Lognon był w saloniku?

- Tak. Szybko doszliśmy do porozumienia... Nigdy nie próbował umizgać się do mnie, był dla mnie bardzo miły, ojcowski... Chcąc mi okazać wdzięczność, przynosił mi czekoladki albo bukietek fiołków...

- O godzinie dziesiątej pani już spała?

- Leżałam w łóżku, ale jeszcze nie spałam. Czytałam gazetę... Zapukał do moich drzwi... Bardzo podniecony, oznajmił mi, że zaszło coś nowego, że przed chwilą wprowadzono malarza, że stało się to zbyt szybko, aby miał czas zbiec na dół. "Muszę jeszcze trochę zostać... Możliwe, że jeden z ludzi wróci". Podeszedł do okna, a

ja zasnęłam... Zbudziły mnie strzały... Wyrzesałam na ulicę. Gdy się wychyliłam, zobaczyłam ciało na chodniku... Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię, ale zaczęłam się ubierać... Przyszła dozorczeni i powiedziała mi, co zaszło...

- Dlaczego pani uciekła?

- Pomyślałam, że skoro gangsterzy wiedzieli, kim on jest i co robił w tym domu, zechcą rozprawić się także ze mną... Nie wiedziałam jeszcze, dokąd pójdę... Nie zastanawiałam się...

- Wzięła pani taksówkę?

- Nie. Poszłam piechotą na plac Clichy i trochę czasu przesiedziałam w otwartej jeszcze kawiarni, gdzie dziewczyny lustrowały mnie od stóp do głów... Przypomniałam sobie pewną oberżę, gdzie niegdyś często bywałam z pewnym przyjacielem...

- Z Janem Klaudiuszem, tak?

- To przez niego?...

- Niech pani posłucha. Interesuje mnie wszystko, co się pani przydarzyło, i byłbym szczęśliwy mogąc poznać szczegóły przygody, jaką panią spotkała. Ale mam wrażenie, że jest coś pilniejszego... Proszę, aby poczekała pani na mnie w pokoju inspektorów, gdzie zaraz panią zaprowadzę... Korzystając z tego, Janvier spíše pani zeznanie.

- Czy Lognon się omylił?

- Nie! Lognon zna swój fach i rzadko się myli... Jak pani powiedział, nie miał szczęścia... Albo w ogóle sprzątają mu sprawę sprzed nosa, albo odsuwają go w chwili, gdy już jest bliski celu.

- Proszę, idziemy...

Zostawił ją w sąsiednim pokoju, a w gabinecie zastał Janviera.

- Spiszesz zeznanie panny Augier...

Nagle Gollan, który siedział, poderwał się z krzesła.

- Sprowadził ją pan tutaj?

- Nie chodzi o pańską znajomą, panie Gollan, lecz o dziewczynę naprawdę przyzwoitą... A pan wciąż twierdzi, że nie zna Stanleya Hobsona, zwanego Łysym Stanem?

- Nie muszę odpowiadać.

- Jak pan chce... Proszę usiąść... Może wyciągnie pan jakąś korzyść z rozmowy telefonicznej, jaką zaraz przeprowadzę... Halo! Połączcie mnie z panem

Jonkerem... Norris Jonker, avenue Junot... Halo, pan Jonker?... Tutaj Maigret... Już po wyjściu od pana znalazłem odpowiedź na wiele pytań, które panu zadałem.

Prawdziwą odpowiedź, rozumie pan?... Na przykład jest w moim biurze pan Gollan, zresztą bardzo niezadowolony, że go fatygowano; wciąż jeszcze nie odnalazł swojego samochodu... Żółtego jaguara... Tego, który wczoraj o godzinie dziesiątej wieczór stał przed pańskim domem i zabrał między innymi pańskiego lokatora... Mówię: pańskiego lokatora, tak... Jak się wydaje, w żalonym stanie... Bez skarpetek i butów... Niech mnie pan słucha, panie Jonker... Mógłbym zaraz albo jutro rano kazać pana zatrzymać za pewne niezbyt legalne transakcje handlowe, o czym pan wie lepiej ode mnie... Na wszelki wypadek oznajmiam panu, że dom jest obserwowany przez policję... Proszę, aby pan zaraz tu przyszedł wraz z panią Jonker; będziemy kontynuować popołudniową rozmowę... Gdyby pańska żona robiła trudności, proszę jej powiedzieć, że znam całą jej historię... Możliwe, że oprócz pana Gollana spotka pan tu niejakiego Łysego Stana... Proszę milczeć, panie Jonker!... Teraz ja mówię, a wkrótce przyjdzie kolej na pana... Przykro jest być zamieszanym w aferę fałszerstwa, ale gorzej byłoby zostać oskarżonym o współudział w morderstwie, prawda?... Jestem przekonany, że inspektora Lognon napadnięto bez wiedzy pana i prawdopodobnie bez wiedzy Gollana... Ale ogromnie się boję, że ktoś knuje inną zbrodnię, a w tę byłby pan już na dobre zamieszany, bo chodzi o człowieka, którego trzymał pan u siebie w zamknięciu... Gdzie on jest?... Niech mi pan powie, dokąd i kto go uprowadził... Nie, nie dopiero wtedy, gdy pan tu przyjdzie... Nie za pół godziny... Natychmiast, słyszy pan, panie Jonker?...

Dobiegł go szmer kobiecego głosu. Widocznie Mirella pochyliła się nad mężem. Co mu radziła?

- Przysięgam panu, panie Maigret...
- A ja powtarzam panu, że czas nagli...
- Proszę poczekać... Nie pamiętam numeru... Muszę zajrzeć do notesu...

Tu otwarcie już włączyła się Mirella.

- On poda panu adres, panie Maigret. Chodzi o Maria de Lucia, który ma pracownię w pobliżu Pól Elizejskich... Już jest mój mąż...

Jonker czytał:

- Mario de Lucia, ulica de Berry 27 bis... On miał się zająć Frederikiem...
- A Frederico to malarz, który pracował w pańskim atelier?
- Tak, Frederico Palestri...

- Czekam na pana, panie Jonker... I proszę przyprowadzić swoją żonę...

Maigret nawet nie spojrział na amerykańskiego krytyka sztuki. Sięgnął po słuchawkę.

- Połączcie mnie z komisariatem dziewiątki... Halo!... Kto przy telefonie?... Dubois? Niech pan weźmie trzech albo czterech ludzi... Mówię: trzech albo czterech, bo to niebezpieczny typ. Pojedziecie na ulicę de Berry 27 bis do pracowni niejakiego Maria de Lucia... Jeżeli będzie w domu, co jest możliwe, aresztujcie go, tak, mimo późnej godziny... Znajdziecie w mieszkaniu człowieka, którego tam uwięziono, Frederica Palestri... Chciałbym mieć tutaj obu tych ludzi możliwie szybko... Raz jeszcze powtarzam: uwaga!... Mario de Lucia posługuje się mauzerem 7,63... Znajdźcie broń, jeżeli nie ma jej przy sobie...

Zwrócił się do Eda Gollana:

- Widzi pan, że niesłusznie pan protestował. Musiałem mieć sporo czasu, aby to wszystko zrozumieć, bo nie znam się na handlu obrazami zarówno autentycznymi, jak sfałszowanymi. Poza tym pański przyjaciel Jonker to dżentelmen, który niełatwo traci zimną krew...

Jeszcze raz chwycił za telefon, który właśnie zadzwonił.

- Tak... Halo! Lucas?... Gdzie jesteś?... Na Quai de la Tournelle... Hôtel de la Tournelle?... Rozumiem... Je kolację w barze obok? Nie, nie jest sam... Wezwij dwóch inspektorów dzielnicowych, aby ci towarzyszyli... Pomijając inne względy, może to on zabawia się automatem dużego kalibru... Zdziwiłoby mnie to, ale wystarczy pomyśleć o biednym Lognonie...

Podszedł do drzwi pokoju inspektorów.

- Napiłbym się chłodnego piwa...

Wrócił, usiadł przy biurku, zaczął nabijać fajkę.

- Otóż to, panie Gollan!... Mam nadzieję, że pański malarz jeszcze żyje... Nie znam Maria de Lucia, ale zapewne figuruje on w rejestrach skazanych pod tym lub innym nazwiskiem... Jeżeli nie, zwrócimy się do policji włoskiej... Dowiemy się wszystkiego w parę minut... Niech pan przyzna, że boi się pan podobnie jak ja...

- Nie będę mówił przed przyjściem mojego adwokata, mecenasa Spanglera... Jego telefon: Odeon 18-24. Nie, mylę się...

- To nie ma znaczenia, panie Gollan... W punkcie, w którym teraz się znajdujemy, nie spieszę się, aby pana przesłuchać... Szkoda, że taki człowiek jak pan dał się wplątać w tego rodzaju aferę, i mam nadzieję, że mecenas Spangler znajdzie

solidne argumenty, aby pana obronić...

Jeszcze nie zdążono przynieść piwa, gdy znowu zadzwieczał telefon.

- Tak... Dubois?

Słuchał przez dobrą chwilę w milczeniu.

- Dobrze!... Dziękuję... To nie twoja wina... Raport skieruj prosto do Prokuratury... Przyjdę tam później...

Maigret wstał, nie odpowiadając na pytające spojrzenie Amerykanina. Ten był blady.

- Czy coś się stało? Przysięgam panu, że jeżeli...

- Niech pan siedzi i milczy.

Przeszedł do pokoju inspektorów, dał znak Janvierowi, który wystukiwał na maszynie zeznanie Marinetty Augier, aby wyszedł za nim na korytarz.

- Coś nie tak, szefie?

- Nie wiem jeszcze, co się właściwie stało... Znalaziono malarza wiszącego na łańcuchu od płuczki w łazience, gdzie się zamknął... Mario de Lucia zniknął... Jego kartę znajdziesz zapewne na górze... Zarządź ogólny alarm: dworce, lotniska, granice...

- A Marinetta?

- Jeszcze poczeka.

Dwoje ludzi wchodziło schodami na górę, a za nimi w pewnej odległości policjant z osiemnastki.

- Pani Jonker, proszę wejść do tego pokoju i poczekać na mnie.

Dwie kobiety, które znały się z widzenia, jeszcze nigdy nie znalazły się tak blisko siebie i przyglądały się sobie ciekawie.

- Pan, panie Jonker, pójdzie za mną...

Zaprowadził go do małego pokoju, gdzie wcześniej przyjmował Marinettę Augier.

- Proszę usiąść.

- Odnaleźliście go?

- Tak.

- Żywego?

Holender nie miał już swojej różowej cery i stracił pewność siebie. W parę godzin stał się starym człowiekiem.

- De Lucia go... zabił?

- Znalaziono go powieszzonego w łazience...
- Ja zawsze mówiłem, że to się źle skończy...
- Komu?
- Mirelli... I innym... Przede wszystkim mojej żonie...
- Co pan wie o niej?

Trudno mu było to wyznać, ale przemógł się; głowę miał spuszczoną...

- Myślę, że wszystko...
- O Nicei i Stanleyu Hobsonie?
- Tak.

- O tym, co w Manchesterze poprzedziło rozwód z Herbertem Muir?

- Tak.

- Poznał ją pan w Londynie?

- W posiadłości koło Londynu, u przyjaciół. W pewnym gronie towarzyskim była bardzo popularna...

- I pan się w niej zakochał? Czy to pan zaproponował jej małżeństwo?

- Tak.

- Wiedział pan już?

- Panu wyda się to nieprawdopodobne, ale Holender by zrozumiał... Zleciłem prywatnej agencji, aby udzieliła mi o niej informacji... Dowiedziałem się, że przez wiele lat żyła z Hobsonem, znanym jako Łysy Stan, którego angielska policja zdołała zamknąć tylko raz, na dwa lata... Odnalazł ją w Manchesterze, kiedy była panią Muir... W Londynie nie żył z nią, ale zjawiał się od czasu do czasu, aby wycisnąć z niej jakieś pieniądze.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Szefie, napije się pan piwa?

- Pan, panie Jonker, na pewno wolałby koniak?.. Przepraszam, nie mogę pana poczęstować trunkiem, który pija pan u siebie w domu. Niech ktoś przyniesie butelkę koniaku z mojej szafki ściiennej.

Zasiedli we dwójkę i duszkiem wypity alkohol sprawił, że policzki Holendra odzyskały niemal swój zwykły kolor.

- Widzi pan, panie Maigret, ja nie mogę się bez niej obejść... Zakochać się w moim wieku to rzecz bardzo niebezpieczna... Wytłumaczyła mi, że Hobson ją szantażuje, ale że się go pozbędzie za pewną sumę pieniędzy, i uwierzyłem...

Płaciłem...

- Jak zaczęła się sprawa z obrazami?
- Trudno będzie panu uwierzyć mi, bo nie jest pan kolekcjonerem...
- Kolekcjonuję ludzi...

- Ciekaw jestem, w jakiej rubryce umieści mnie pan w swojej kolekcji... Może w rubryce głupców?... Ponieważ zasięgał pan o mnie informacji, na pewno powiedziano panu, że jestem prawdziwym znawcą malarstwa pewnej epoki... Kiedy człowiek przez tyle lat pasjonuje się jakąś jedną rzeczą, w końcu zna się na niej, prawda? Ludzie często zasięgają mojej opinii o jakimś płótnie... I wystarczy, że jakiś obraz figurował w mojej kolekcji, aby nabrał niezaprzeczalnej wartości...

- Krótko mówiąc, aby uznać jego autentyczność...

- Tak ma się rzecz ze wszystkimi wielkimi kolekcjonerami sztuki... Mówiłem panu u siebie w domu: sprzedaję niektóre płótna, aby kupować inne, piękniejsze i rzadsze... Kiedy raz się zacznie, trudno się powstrzymać. Raz się pomyliłem...

Mówił ponurym tonem, obojętny na to, co się jeszcze mogło mu się przydarzyć.

- A chodziło o Van Gogha... Nie któregoś z tych, które odziedziczyłem po ojcu... Kupiłem go przez pośrednika i przysięgłbym, że to autentyk... Trzymałem go pewien czas w moim salonie... Pewien południowoamerykański amator ofiarował mi za niego sumę, umożliwiającą mi kupno obrazu, którego od dawno pragnąłem... Transakcja doszła do skutku... W parę miesięcy później odwiedził mnie niejaki Gollan, którego znałem tylko z nazwiska...

- Kiedy to było?

- Mniej więcej przed rokiem... Powiedział, że widział Van Gogha u mego wenezuelskiego nabywcy, i dowiódł mi, że jest to zręczny falsyfikat... "Nie powiedziałem o tym nabywcy - dodał. - Byłoby panu bardzo nieprzyjemnie, gdyby dowiedziano się, że sprzedał pan falsyfikat, nieprawdaż? Inni, którym sprzedawał pan obrazy, mogliby się zaniepokoić. Cała pańska kolekcja stałaby się podejrzana..." Pan nie jest kolekcjonerem, powtarzam... Nie ma pan wyobrażenia, jakim ciosem była dla mnie ta historia... Gollan znowu mnie odwiedził... Pewnego dnia oznajmił mi, że odkrył autora falsyfikatu, genialnego, jak twierdził, młodzieńca, który z równą łatwością potrafi naśladować Maneta, jak Renoira czy Vlamincka...

- Czy pańska żona była obecna przy tej rozmowie?

- Nie pamiętam... Może później opowiedziałem jej o tym? Może zachęcała mnie, abym przyjął propozycję? Może sam ją zaakceptowałem? Mówi się o mnie, że

jestem człowiekiem bogatym, lecz wyraz bogactwo nie ma sprecyzowanego znaczenia... Mogę sobie kupić niektóre obrazy, ale moje środki nie pozwalają mi nabywać innych, chociażby okazja była bardzo nęcąca... Czy pan mnie rozumie?

- Zdaje mi się, że zrozumiałem jedno: chodziło o to, aby obrazyfalsyfikaty, przechodząc przez pańską galerię, zostały uwierzytelnione...

- Tak mniej więcej było... Umieszczałem jeden lub dwa takie obrazy wśród moich i...

- Zaraz! Kiedy przyprowadzono do pana Palestriego?

- W miesiąc albo dwa później... Za pośrednictwem Gollana sprzedałem dwa jego dzieła... Gollan lokował je najchętniej u kolekcjonerów południowoamerykańskich albo w niedużych, mało znanych muzeach... Z Palestrim miał kłopoty, gdyż był to rodzaj genialnego szaleńca, w dodatku opętanego seksem. Domyślił się pan tego, zobaczywszy jego pokój, prawda?

- Zacząłem się czegoś domyślać, gdy ujrzałem pańską żonę przy sztalugach...

- Trzeba było wprowadzić wszystkich w błąd...

- Kiedy i jak zorientował się pan, że ktoś interesuje się tym, co dzieje się w pańskim domu?

- To nie ja się spostrzegłem, lecz Hobson...

- Więc Hobson znowu pojawił się w życiu pana żony?

- Oboje przysięgają, że nie... Hobson był przyjacielem Gollana... To on odkrył Palestriego... Czy pan nadaża za moimi słowami?

- Tak...

- Dostałem się w tryby maszyny... Zgodziłem się, aby pracował w atelier, bo nikomu nie przyszłoby do głowy tam go szukać... Sypiał w pokoju, który pan widział... Nie zależało mu na tym, aby wychodzić z domu, pod warunkiem, że będą odwiedzać go kobiety... Malarstwo i kobiety to były jedyne jego namiętności...

- Mówiono mi, że malował jak opętany...

- Tak... Umieszczano przed nim dwa albo trzy obrazy jakiegoś mistrza...

Krążył dokoła nich jak matador wokół byka i w parę godzin albo w parę dni powstawał obraz, którego inspiracja i technika były tak identyczne, że wszyscy ulegali złudzeniu... Był to lokator bardzo uciążliwy...

- Czy dlatego, że był tak wymagający, gdy chodziło o kobiety?

- I dlatego, że był grubianinem. Nawet w stosunku do mojej żony...

- Czy ograniczył się do grubiaństwa?

- Wolę nie wiedzieć, czy nie posunął się za daleko... Być może... widział pan jej portret, który namalował paru machnięciami pędzla... Jedna namiętność, panie Maigret, to już dużo dla mężczyzny, i ja powinienem był poprzestać na miłości do malarstwa, pozostać statecznym kolekcjonerem... I los zrządził, że spotkałem Mirellę... Ale nie ma tu jej żadnej winy... O co pan mnie pytał? Ach, tak... Kto pierwszy spostrzegł, że nas podejrzewają?... Kobieta, której nazwiska już nie pamiętam, striptizerka z kabaretu na Champs-Élysées, i zdaje mi się, że dla Palestriego sprowadził ją de Lucia... Nazajutrz zatelefonowała do niego i powiedziała, że od wyjścia z mojego domu ktoś szedł za nią, a potem jakiś ciekawski facet zaczepił ją i zaczął zadawać jej różne pytania... De Lucia i Stan czuwali nad naszą dzielnicą... Zauważyli, że wieczorami jakiś mały i chudy osobnik, dość marnie ubrany, krąży po avenue Junot... Potem zobaczyli, że wchodzi z jakąś młodą osobą do domu naprzeciw... Przesiadywał tam w ciemności, przy oknie, sądząc, że nikt go nie widzi, ale ponieważ nie mógł odmówić sobie palenia, widać było od czasu do czasu żarzący się koniec jego papierosa...

- Nikomu nie przyszło na myśl, że on jest z policji?

- Stan Hobson przypuszczał, że gdyby w grę wchodziła policja, obserwatorzy zmieniliby się... Tutaj zawsze był ten sam, doszedł do wniosku, że ów jegomość to członek innej bandy albo ktoś, kto chce się dowiedzieć tyle, aby mógł nas szantażować... Teraz Palestri musiał jak najszybciej zniknąć z domu... Podjęli się tego wczoraj wieczorem de Lucia i Hobson, posłużwszy się samochodem Gollana...

- Jak sądzę, Gollan był we wszystko wtajemniczony?

- Palestri nie chciał opuszczać domu, przekonany, że teraz, kiedy prawie przez rok go wykorzystywano, postanowiono z nim skończyć. Trzeba było go porządnie ogłuszyć... Zdążył jeszcze wyrzucić skarpetki do ogrodu...

- Czy był pan przy tym?

- Nie.

- A pańska żona?

- Nie!... Czekaliśmy na jego wyjazd, aby doprowadzić do porządku pracownię i pokój... Już w przeddzień Stan zabrał w pośpiechu ramy i płótno... Mogę panu oświadczyć, jeżeli wolno mi jeszcze prosić, aby mi pan uwierzył, że nie wiedziałem o ich zamiarze zgładzenia inspektora... Uświadomiłem to sobie dopiero słysząc strzały...

Zapadło długie milczenie. Maigret był zmęczony i z pełną bezsilności sympatią patrzył na siedzącego przed nim starego człowieka, który niepewną ręką

sięgał po butelkę koniaku.

- Pozwoli pan?

Jonker wychylił kieliszek i usiłował się uśmiechnąć.

- W każdym razie ze mną koniec, prawda? Zastanawiam się, czego będzie mi brakowało najbardziej...

Czy obrazów, za które tak drogo zapłacił? Czy żony, co do której nigdy nie miał złudzeń, ale która była mu potrzebna?

- Zobaczysz pan, panie Maigret: nikt nie uwierzy, że człowiek inteligentny może być tak naiwny...

Po chwili namysłu dodał:

- Chyba z wyjątkiem kolekcjonerów...

W innym pokoju biurowym Lucas zaczął przesłuchiwać Łysego Stana.

Przez dwie godziny jeszcze ludzie przechodzili z pokoju do pokoju, zadawano sobie pytania, udzielano odpowiedzi, słychać było stukot maszyn do pisania.

Była prawie pierwsza, jak wczoraj, kiedy wreszcie światła zgasły.

- Odprowadzę panią, panno Augier... Tej nocy będzie pani mogła spokojnie spać w domu...

Oboje siedzieli już w taksówce.

- Panie Maigret, czy wziął mi pan to za złe?

- Co?

- Czy gdybym nie straciła głowy i nie uciekła, nie miałby pan ułatwionej pracy?

- Zyskalibyśmy parę godzin, ale wynik byłby taki sam...

Nie wydawał się zbyt zadowolony z tego wyniku i nawet w spojrzeniu na Mirellę w chwili, gdy odprowadzano ją do aresztu, nie brakło pewnej sympatii.

Lognon wyszedł ze szpitala w miesiąc później, chudszy niż zwykle, ale z błyskiem w oczach, bo w komisariacie osiemnastki stał się teraz pewnego rodzaju bohaterem. Poza tym w gazetach ukazała się fotografia nie Maigreta, lecz jego.

Tego samego dnia wyjechał z żoną na wieś położoną w Ardenach, gdyż lekarze zalecili mu dwa miesiące rekonwalescencji. Dwa miesiące, które jak przewidziała pani Maigret, spędził na pielęgnowaniu żony.

Mario de Lucia został aresztowany na granicy belgijskiej, Hobson i on dostali po dziesięć lat ciężkich robót.

Gollan zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział o napadzie na avenue Junot, i

skazano go tylko na dwa lata więzienia za oszustwo.

Jonkerowi groził rok więzienia, ale że miesiące spędzone w areszcie śledczym liczą się podwójnie, odzyskał wolność po rozprawie w sądzie przysięgłych.

Wyszedł pod rękę z żoną, bo Mirellę z braku dowodów uniewinniono...

Maigret, stojący w głębi sali, wymknął się jako jeden z pierwszych, aby uniknąć spotkań, zwłaszcza że przyrzekł pani Maigret zatelefonować i przekazać brzmienie wyroku.

Była to już stara historia: nadszedł czerwiec i ludzie mówili tylko o wakacjach.

Noland, 23 czerwca 1963